PŁOMYK

6

DWUTYGODNIK
DLA MŁODZIEŻY
25.III.1977

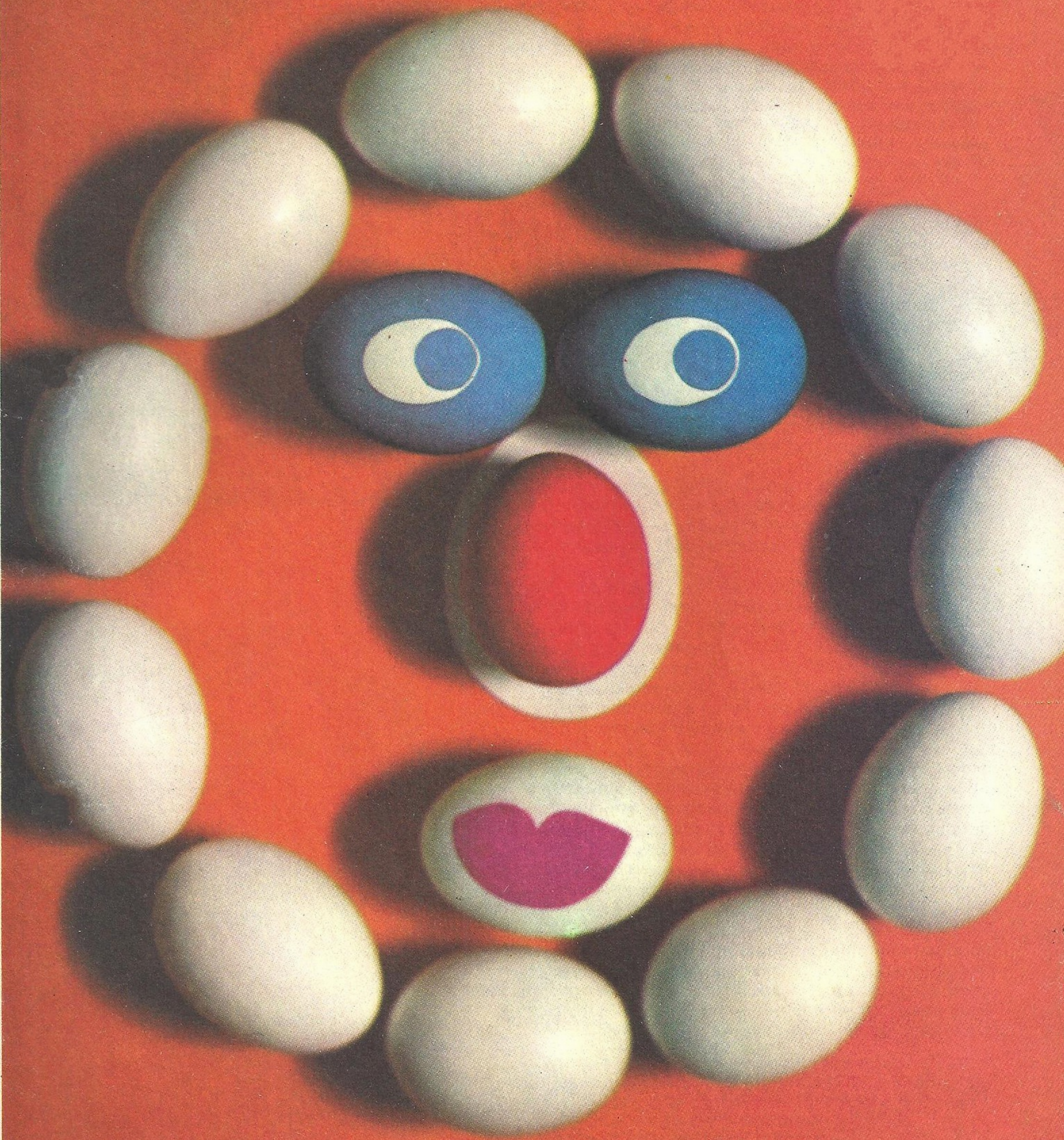

Z czego się śmiejesz?

Na to pytanie ogromnie trudno znaleźć poważną odpowiedź. Najlepszą odpowiedź dałby zapewne plebiscyt, polegający na wskazaniu najdowcipniejszego spośród kilku rysunkowych dowcipów, ale po pierwsze – nie tylko z rysunków człowiek się śmieje, a po drugie – ankiet i plebiscytów mieliśmy ostatnio w „Płomyku" tak wiele, że na razie rezygnujemy z tej metody badania Waszego poczucia humoru. Sprawa jest jednak bardzo ważna, bo w ostatniej sondzie redakcyjnej, której zadaniem było znaleźć odpowiedź na pytanie: CO WAM SIĘ PODOBA W „PŁOMYKU", A CO NIE PODOBA – wiele było właśnie zarzutów wytykających brak humoru w piśmie i... w redakcji. Bardzo nas to zasmuciło i na chwilę spochmurnieliśmy. Ponieważ jednak „Płomyk", mimo sześćdziesiątki lat, które dźwiga na grzbiecie, ma w gruncie rzeczy naturę wesołą, więc zamiast się martwić, że tak nas widzicie – postanowiliśmy częściej się do Was uśmiechać. W tym numerze, który ukazuje się w okolicach prymaprylisu, polecamy szczególnej uwadze miłośników humoru następujące pozycje:

Już NA OKŁADCE dzieją się zabawne rzeczy z jajkami przygotowanymi na Wielkanoc. Nas rozbawił znakomity pomysł autora fotografii, a Was?!

Opowiadanie Edmunda Niziurskiego „WIOSENNA POWÓDŹ, CZYLI OBERON NIEZŁOMNY" – to „bomba śmiechu", a pod tę bombę podłożona została jeszcze druga – w postaci ilustracji Antoniego Chodorowskiego.

W inny całkiem sposób rozbawić może sytuacja opisana w kolejnym miniopowiadanku z cyklu WOKÓŁ NASTOLATKÓW; trudno nazwać do opowiadanie humorystycznym, natomiast na pewno jest ono prymaprylisowe.

I wreszcie HUMORESKA ESTRADOWA; tę pozycję polecamy szczególnie tym wszystkim, którzy (a jeszcze bardziej „które") marzą o aktorskiej karierze. Kto zaś ciekawy, jakimi niełatwymi drogami dochodzi się do tego zawodu, niech nie opuści stron 12–14! Warto zwrócić uwagę, że bohaterka artykułu zatytułowanego „BYĆ AKTORKĄ" już w szkole szykowała się do wymarzonego zawodu, biorąc udział i organizując najróżniejsze występy. Bo same marzenia nie wystarczą...

Jedni marzą – inni śmieją się z ich marzeń. Tak bywało, na przykład, z pionierami lotnictwa. Dziś śmielibyśmy się z kogoś, kto by bał się wsiąść do samolotu. Dla tych, którzy marzą o samodzielnym lataniu, przeznaczony jest w tym numerze artykuł „LOTNIA-SZYBOWIEC DLA KAŻDEGO". Ale uwaga! To już nie jest „coś do śmiechu".
Aby jednak ten felieton zakończyć z uśmiechem – przytoczymy anegdotkę o jednym z dwóch braci Wrightów, którzy w 1903 roku odbyli pierwszy pomyślny lot na samolocie silnikowym. Otóż Wilbur Wright znany był z małomówności. Kiedy z tego powodu przyjaciele pokpiwali sobie z niego, powiedział: „Jedynym gadatliwym ptakiem jest papuga, ale, jak wiadomo, ten ptak wysoko nie lata". (Kto by chciał uśmiać się z innych jeszcze, mało znanych anegdot o ludziach nauki i techniki – niech zajrzy do „Kalendarza Młodego Technika" na rok bieżący, skąd i tę anegdotkę zaczerpnęliśmy).

„Płomyk" wydawany jest
przez Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia".
Czasopismo ukazuje się od 1917 r.

NA OKŁADCE:
Wielkanocna kompozycja
Fot. kolor. M. Łebkowski i K. Krauze

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Anna Horodecka
Jan St. Kopczewski (redaktor naczelny)
Ewa Kotowska
Maria Kozikowska
Wiesława Krajewska (sekretarz redakcji)
Grażyna Minkowska
Kalina Zarzycka (redaktor graficzny)

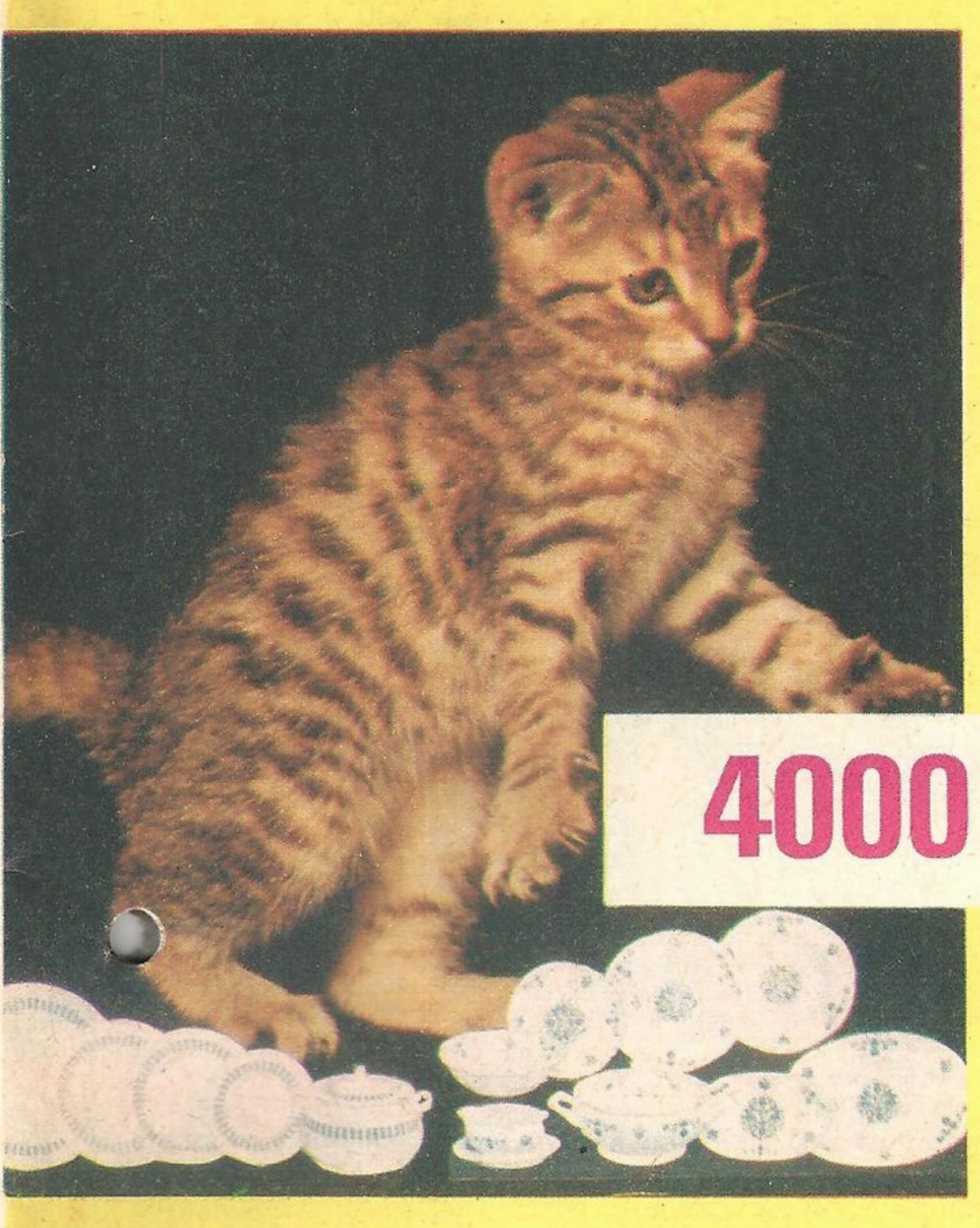

Pierwsze głosy uczestników konkursu-ankiety, ogłoszonego w ostatnim, 24 numerze „Płomyka" z 1976 roku

Otrzymaliśmy ponad 4000 wypełnionych ankiet. Do połowy z nich dołączone były jeszcze listy ze szczegółowymi uwagami. Cieszy nas, że jesteście tak bardzo zainteresowani współredagowaniem naszego czasopisma. Nie zdążyliśmy jeszcze przestudiować, porównać i podsumować wniosków ze wszystkich ankiet i listów, ale już chcielibyśmy podzielić się z Wami pierwszymi spostrzeżeniami. W swoich listach przedstawiacie bardzo wiele interesujących propozycji, co świadczy o Waszych licznych i różnorodnych zainteresowaniach.

4000 współredaktorów „Płomyka"

Oto kilkanaście wybranych na chybił-trafił opinii oraz życzeń pod adresem PŁOMYKA:

- zorganizować konkursy, na najbardziej ciekawą zabawę zimową i letnią i na najlepszą potrawę według własnego pomysłu (*Katarzyna Dąbrowska z Katowic*); a nawet konkurs piękności!
- wprowadzić kącik motoryzacyjny, fotograficzny (*Jan Szczerba z Barczewa*), – literacki (gdzie byłyby zamieszczane pisane przez młodzież wiersze i opowiadania (*Dagmara Lipka, Olsztyn*),
- „Opowiadania o nastolatkach są raczej takie na jedno kopyto" – pisze *Anna Łysek z Wrocławia*, natomiast *Bogusława Gabrysz z Krakowa* twierdzi: „Skąd autorzy opowiadań tyle o nas wiedzą? Piszą naprawdę bardzo ciekawie, życiowo..."
- wprowadzić kursy języków (*Andrzej Darłowski z Lubaczowa*),
- więcej humoru w PŁOMYKU! – czyżby w redakcji panował ponury nastrój i chandra? Chciałabym, aby w PŁOMYKU było coś dla optymistów (*Kaśka z Bolesławca*),
- opisywać najnowsze modele magnetofonów, telewizorów, radioodbiorników, gramofonów (*Jan Szczerba z Barczewa*),
- drukować reportaże na najróżniejsze tematy, np. o parkach narodowych, nowych miastach wojewódzkich, fabrykach (*Iwona Żebrucka, Kalisz*), – o domach dziecka i domach wychowawczych (*Anna Łysek, Wrocław*),
- *Irmina Sobieraj z Kielc* uważa, że PŁOMYK powinien składać się z trzech części: dla dziewcząt, chłopców i ogólnej,
- *Danuta Karska z Lublina* pisze: „W PŁOMYKU jest za mało reportaży sportowych", a *Beata Pawełkiewicz z Chorzowa*: „powinno być więcej artykułów o wszechświecie, a mniej o sporcie!"
- *Aleksandra Padrel z Hadykówki*: „Chciałabym, aby było więcej artykułów takich, jak „Grudniowa wizyta w Finlandii", a *Krystyna Gieszcz z Polichna*: „niestety, przykro mi, ale zupełnie mnie nie interesują reportaże".
- *Agata Rogula z Warszawy* uważa, że: „nikt z nas nie czyta artykułów politycznych, gospodarczych, żadnych reportaży z hut i fabryk", a *Katarzyna Jędrzejewska z Wrocławia*: „bardzo lubię reportaże z różnych stron świata i sądzę, że ciut mało miejsca poświęca się na te sprawy".

Tyle na razie głosów na temat: CO SIĘ KOMU PODOBA oraz CZEGO BRAK W „PŁOMYKU". Studiujemy dalej bogate i obfite materiały ankietowe. Wszystkim, którzy wzięli udział w konkursie-ankiecie – dziękujemy i prosimy o trochę cierpliwości. W kwietniu zamieścimy obszerne omówienie tej akcji oraz LISTĘ NAGRODZONYCH.

„Płomyk"

W KRAJU NA ŚWIECIE

1 2

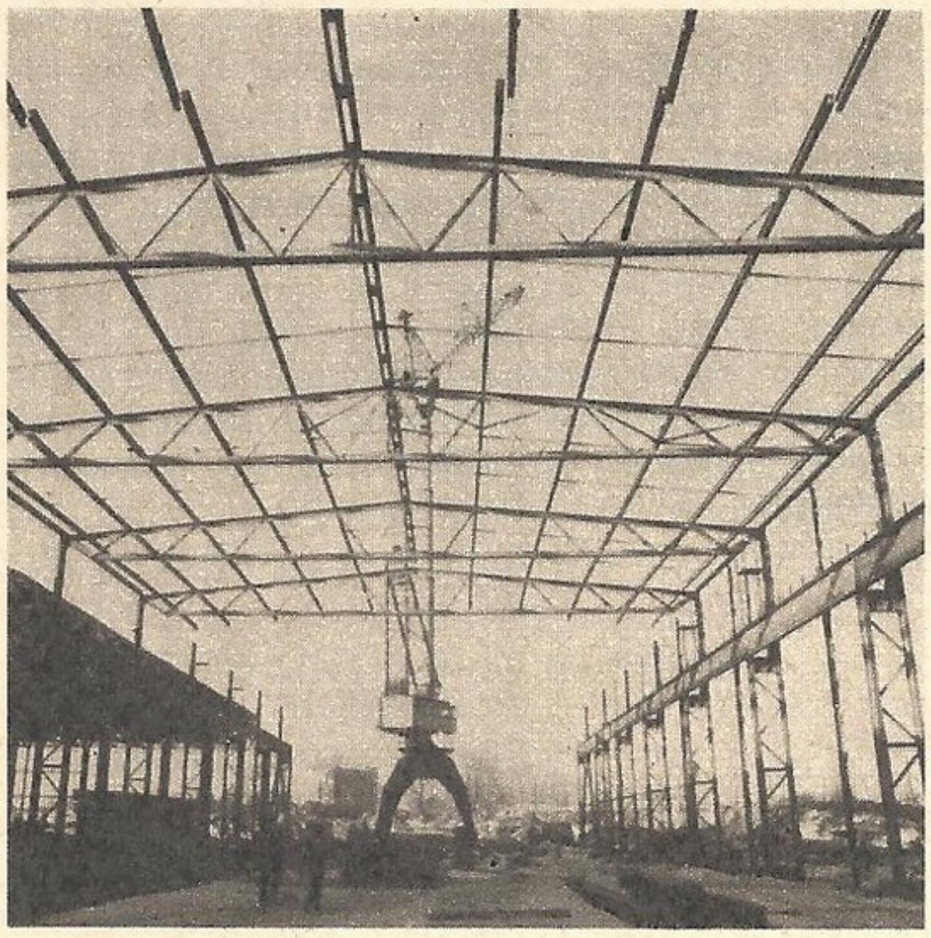

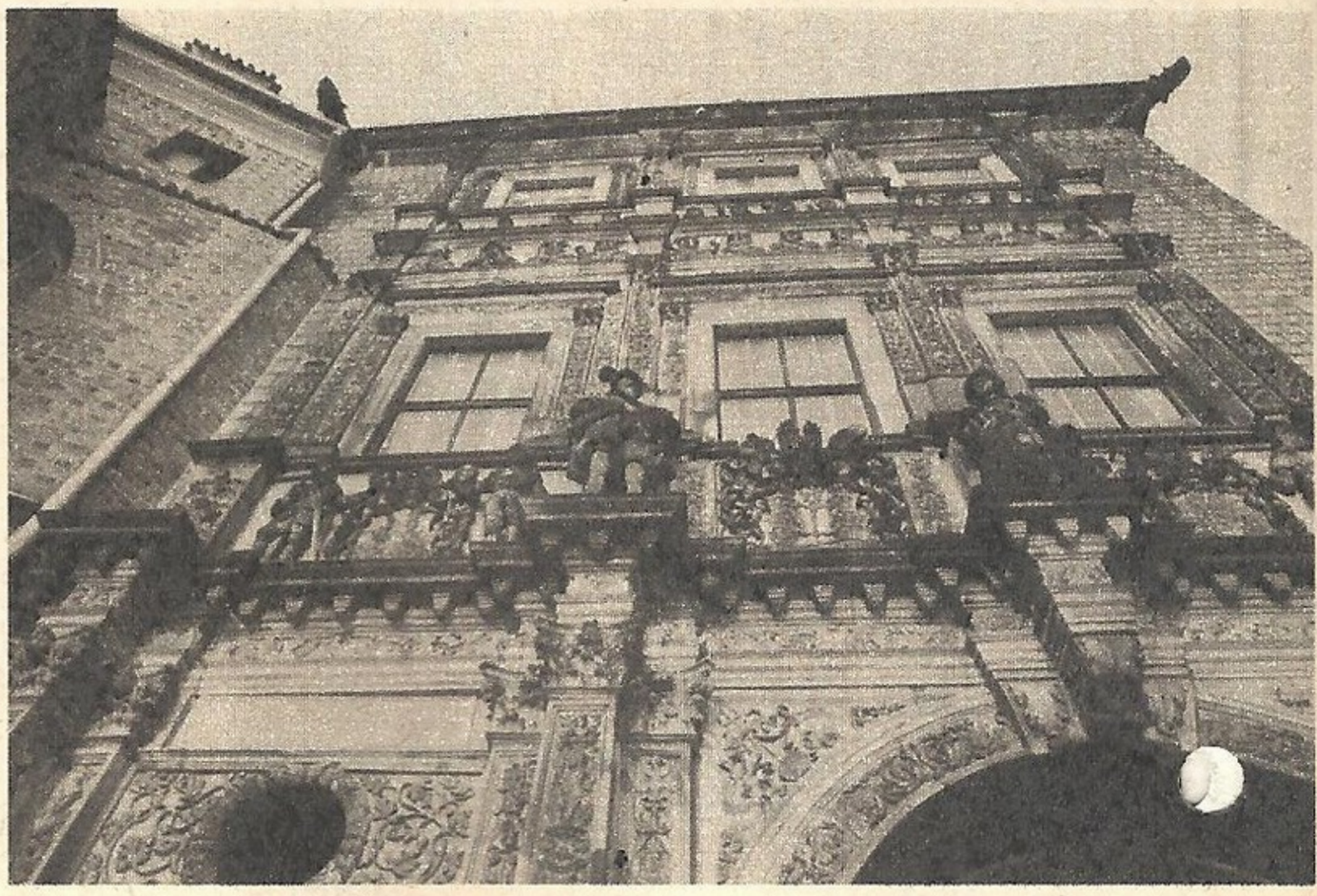

Co godzinę – 7 ciągników! – czyli 168 w ciągu jednego dnia – taka jest przeciętna norma fabryki „Ursus" – największych w Polsce zakładów produkujących ciągniki. W tym roku przewiduje się zmontowanie ok. 60 tys. tych maszyn na potrzeby naszego rolnictwa i na eksport. W przyszłym roku w Ursusie zostanie uruchomiona produkcja nowych typów ciągników na licencji angielskiej. Na razie trwa budowa nowych hal produkcyjnych. Jest to obecnie największa inwestycja przemysłowa w pobliżu Warszawy. **(Fot. 1)**

„Niech Wasz patriotyzm potwierdza się przy każdym warsztacie pracy, w szkole i uczelniach, w służbie wojskowej i wszędzie, gdzie jesteście. Niech wszystko, cokolwiek robicie, dobrze o Polsce świadczy i dobrze jej służy" – powiedział Edward Gierek na naradzie aktywu Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej.
W czasie obrad omówiono ważniejsze inicjatywy młodzieży przynoszące krajowi znaczne korzyści. Należą do nich m.in. Turnieje Młodych Mistrzów Gospodarności i Młodych Mistrzów Techniki. Uczestnicy tych turniejów przysporzyli naszej gospodarce w ub. roku ponad 10 miliardów złotych! W przeszło 870 zakładach realizowany jest z inicjatywy ZSMP konkurs pod hasłem „Polskie – znaczy doskonałe". Młodzież biorąca udział w tym konkursie dba o polepszenie jakości wyrobów.
Inną ważną akcją są patronaty młodzieży nad budownictwem mieszkaniowym. Dzięki tej akcji od 1971 r. zbudowano 25 tysięcy ponadplanowych mieszkań dla 100 tysięcy młodych ludzi!

M/S „Bełchatów" największy polski masowiec – to nowy nabytek Polskiej Żeglugi Morskiej. Statek ma nośność 70 700 ton i przeznaczony jest do przewozu towarów masowych, zwłaszcza rudy i węgla. „Bełchatów" należy do rodziny „panamaxów", długich jednostek o niewielkim zanurzeniu, co umożliwia im swobodne przechodzenie przez Kanał Panamski. Masowiec zbudowany został w japońskiej stoczni Kobe i stanowi jeden z najbardziej nowoczesnych statków w naszej flocie handlowej.

Nasi polarnicy osiedlili się już w Antarktyce. Po zwiedzeniu kilku wysp polscy naukowcy założyli bazę im. Henryka Arctowskiego na Wyspie King George w Południowych Szetlandach. To miejsce uznali za dogodniejsze od Wyspy Livingstone'a, gdzie pierwotnie zamierzali się osiedlić. Łatwiejszy stąd dostęp do morza, lepsze warunki do nawiązania łączności radiowej. Od razu po wylądowaniu polarnicy przystąpili do budowy laboratoriów, stacji meteorologicznej i radiostacji.

Śląskim Wawelem nazywany jest zamek piastowski w Brzegu, w woj. opolskim. Zbudowany w XVI wieku, stanowi jedną z nielicznych zachowanych w naszym kraju siedzib Piastów. Obecnie zamek jest odbudowywany. W gotowym skrzydle otworzono bibliotekę, a po skończeniu wszystkich prac znajdzie się tu Muzeum Piastów Śląskich. **(Fot. 2)**

Coraz więcej miedzi. Wydobywanie rud miedzi stało się obok przemysłu węglowego specjalnością polskiej gospodarki. Bez miedzi niemożliwy byłby rozwój wielu gałęzi przemysłu. Miedź wchodzi m.in. w skład większości precyzyjnych wyrobów elektronicznych i elektrotechnicznych, niezbędna jest w urządzeniach telekomunikacyjnych.
W zagłębiu Głogowsko-Legnickim wydobywamy coraz więcej rud miedzi. W latach 1965–1975 nastąpił przeszło siedmiokrotny wzrost wydobycia. Do niedawna jeszcze sprowadzaliśmy miedź z zagranicy. Obecnie Polska jest jednym z poważniejszych eksporterów tego surowca.

Kosmiczna rocznica. W tym roku minie 20 rocznica umieszczenia na orbicie okołoziemskiej pierwszego sztucznego satelity Ziemi. Wystrzelony on został z terytorium Związku Radzieckiego 4 października 1957 r. Warto przypomnieć, że w ub. roku Związek Radziecki umieścił już tysięczny obiekt w przestrzeni kosmicznej. Wśród tego tysiąca znajdowało się 15 sztucznych satelitów Ziemi, 48 księżycowych, wenusjańskich, marsjańskich i międzyplanetarnych sond kosmicznych, 7 bezzałogowych i 26 załogowych statków kosmicznych oraz 4 czasowo zamieszkane stacje badawcze.

Co krąży w kosmosie? Od wejścia na orbitę pierwszego sputnika zarejestrowano ogółem 9646 sztucznych satelitów, z których 4141 znajduje się obecnie na orbitach okołoziemskich. Poza Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi satelity były wystrzeliwane z terytorium Chińskiej Republiki Ludowej, Kanady, RFN, Japonii, Indonezji.

3

4

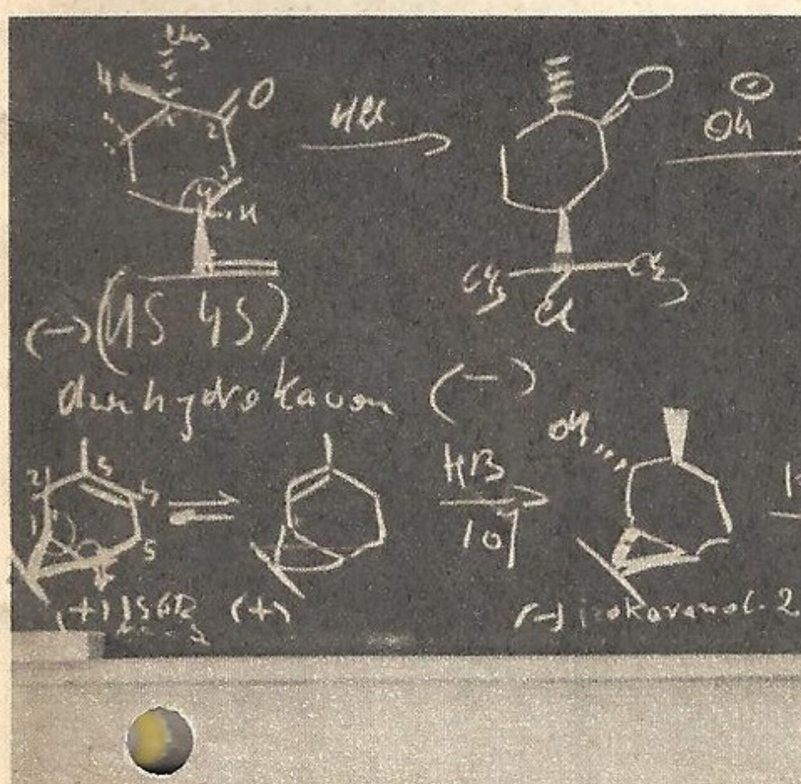

5

MIGAWKI Z ŻYCIA MŁODZIEŻY

Harcerski pociąg ze złomem. Dla uczczenia VI Zjazdu ZHP Chorągiew Gdańska zobowiązała się do zbiórki surowców wtórnych, w tym szczególnie złomu dla huty „Katowice". Już po pierwszym etapie harcerze uzbierali tyle złomu (780 ton), że załadowano nim cały pociąg, który wyruszył do Katowic. Podobną zbiórkę złomu organizują również inne chorągwie, a większość funduszy uzyskanych z tej akcji przekazywana jest na budowę Centrum Zdrowia Dziecka.

Pod urokiem muzyki poważnej są uczniowie ze szkół średnich we Wrocławiu. Miejscowa Filharmonia urządza bowiem dla młodzieży co roku cykle koncertów, jak też spotkania z dyrygentami, kompozytorami i krytykami muzycznymi. Dzięki tej akcji młodzież z własnej inicjatywy zaczęła tworzyć szkolne koła miłośników muzyki.

Przyszłych rybaków kształci Zespół Szkół Rybołówstwa Morskiego w Kołobrzegu – największa tego typu placówka na naszym wybrzeżu. Przed podjęciem nauki kandydaci wyruszają w dwutygodniowy rejs, a w czasie roku szkolnego odbywają praktykę w stoczni. Na zdjęciu uczniowie podczas zajęć nawigacyjnych. **(Fot. 3)**

Muzeum morskie – pierwsze w woj. koszalińskim – powstało przy gminnej szkole w Mielnie. Przy urządzaniu muzeum pomogli rybacy jednego z trawlerów dalekomorskich. Przekazali oni szkole wiele eksponatów, wśród nich okazy ryb egzotycznych.

Klub Miłośników Teatru utworzył szczep ZHP przy Technikum Mechaniczno-Energetycznym w Szczecinie. Członkowie klubu nie tylko chodzą do miejscowych teatrów, ale też wyjeżdżają na przedstawienia do innych miast. Plonem tych wypraw są recenzje z przedstawień, które omawia się wspólnie na klubowych spotkaniach.

Pokaz zaprojektowanej i wykonanej przez siebie odzieży zorganizowały dla mieszkańców miasta uczennice Technikum Odzieżowego i Szkoły Zawodowej w Płońsku. Uszyte modele znalazły się potem w sklepie firmowym.

Szkołą XXI wieku została nazwana Gminna Szkoła Zbiorcza w Lipsku, w woj. suwalskim. Nowa szkoła jest wyposażona w najnowocześniejsze pomoce naukowe. Na zdjęciu – pracownia fizyki. **(Fot. 4)**

Budowa pierwszej wioski dziecięcej w naszym kraju rozpocznie się w tym roku. Plan architektoniczny już został opracowany, wioska powstanie w Biłgoraju w woj. zamojskim. Osiedle ma składać się z 12 domków wkomponowanych w powstającą tu nową dzielnicę mieszkaniową, dzieci będą więc mogły korzystać z miejskiego domu kultury, klubu sportowego, osiedlowej świetlicy.

„To bardzo proste" – taki tytuł nosi zdjęcie wykonane przez Macieja Bilewicza, fotografika „Trybuny Ludu". Zdjęcie to otrzymało główną nagrodę w dziale „Portret człowieka" na międzynarodowym konkursie fotografii prasowej, zorganizowanym przez moskiewski dziennik „Prawda". **(Fot. 5)**

to się zdarzyło 1 kwietnia

EDMUND NIZIURSKI

Wiosenna powódź czyli Oberon niezłomny

Jest to fragment powieści „Awantury kosmiczne", drukowanej u nas w 1975 roku. Fragment ten znajdzie się w książkowym wydaniu, które przygotowuje obecnie Wydawnictwo „Śląsk", nie było go natomiast w „Płomyku". Jest to niesamowity sen Tomka Okista, głównego bohatera „Awantur kosmicznych". Wszystko wskazuje na to, że był to sen prymaprylisowy... Wydaje nam się, że opowieść ta spełnia życzenia tych wszystkich uczestników ankiety: Gdybym był redaktorem „Płomyka", którzy żądali, aby w naszym piśmie było więcej humoru.

Miałem niesamowity sen. Śniły mi się szczury. Cała społeczność szczurza wyległa niespodziewanie na ulice...

Ludzie bali się wychodzić z domów, zamykali się w pokojach i przez okna patrzyli ze zgrozą na te galopujące gryzonie. Ale już wkrótce okazało się, że szczury nie były agresywne, nikogo nie pokąsały, nikomu nic nie zjadły. I ludzie zrozumieli, że szczurom nie takie rzeczy teraz w głowie. One po prostu uciekają, przemykają przerażone ulicami, jak najszybciej chcą wydostać się z naszego miasta.

Niektórzy mieszkańcy nawet zaczęli się cieszyć, że szczury uciekają, ale byli to ludzie głupi. Ludzie mądrzy wiedzieli, że nie ma powodu do radości, a woźny szkolny Macoch zwany przez młodzież Bamboszem, przerwał natychmiast froterowanie podłogi, ściągnął fartuch i zaczął pakować swój wielki odkurzacz – dar komitetu rodzicielskiego.

Zaalarmowany przez lizusów nadbiegł dyrektor szkoły – Oberon. Oberon należy do ludzi mądrych. Gdy tylko zaczął się exodus szczurów zrozumiał, co się święci, ale ze względu na wyższe racje nie dał tego po sobie poznać.

– Na miłość boską, co pan robi? – zagrzmiał do Bambosza.

– Przygotowuję się do ewakuacji – od-

parł z kamienną twarzą woźny. – Szczury uciekają. To zły znak!

– Głupi przesąd!

– Szczur jest zwierzęciem inteligentnym. Byłem marynarzem i wiem. Kiedy szczury uciekają z okrętu, to znaczy, że okręt tonie.

– Moja szkoła nie jest tonącym okrętem – rzekł dumnie Oberon. – Natomiast pan jest tchórzliwym eksmarynarzem czyli eksmajtkiem. Niech pan natychmiast wraca do froterowania!

Ale Bambosz zignorował całkowicie rozkaz Oberona. Wyciągnął ze swojej walizki stary strój marynarski i flegmatycznie zaczął na oczach wszystkich naciągać rozszerzone u dołu granatowe marynarskie spodnie. Potem sprzątaczki pomogły mu włożyć marynarską koszulkę w pasy, oraz bluzę z marynarskim kołnierzem. Następnie wytoczyły z piwnicy wielką dawno nie używaną balię, a Bambosz przybił do niej maszt ze szczotki do zamiatania.

– To arka dla pana dyrektora! – powiedział ustawiając balię przed gabinetem.

– Pan sobie kpi! – krzyknął Oberon.

– Bynajmniej! Na wszelki wypadek radzę trzymać w pogotowiu... Chyba że pan dyrektor zdecydował się porzucić tę straconą placówkę i oddać pod moją komendę. To co innego. Mógłbym pana przyjąć na mój okręt flagowy...

– Nigdy nie porzucę placówki ani tym bardziej, nie oddam się pod komendę woźnych. Choćby nawet byli eksmajtkami.

– Tak też myślałem – powiedział Bambosz i spokojnie wyciągnął z „Azylu" jakąś wielką zwiniętą materię, coś w rodzaju ogromnego żółto-czarnego flaka i kazał nadymać kucharce oraz sprzątaczkom. Więc one zaraz siadły pod szkołą i nadymały cierpliwie, aż flak zamienił się w wielką plastykową łódź.

Pedagodzy przyglądali się z ciekawością tym niezwykłym przygotowaniom. Zdenerwowało to Oberona.

– Dość tego – powiedział – proszę nie zwracać uwagi na tego człowieka! Państwo zapomnieli, że dzisiaj mamy sesję rady pedagogicznej. Musimy rozpatrzyć zachowanie Tomasza Okista i jego kolegów z Komitetu Redakcyjnego. To skandal, żeby sobie pozwalać na takie rzeczy w szkolnej gazecie! Proszę wszystkich do sali...

– Kiedy powódź... – bąknął fizyk, pan Gargul.

– Niech pan nie wierzy w powódź! – zgromił go Oberon.

– Przecież Bambosz... On chce odpłynąć. Pan widzi...

– To przez nich! To właśnie przez nich! Skorzystał z pierwszego pretekstu, by nas opuścić! Człowiek małego ducha, lecz my znamy nasze obowiązki i nie damy się zastraszyć. Proszę na konferencję – powiedział Oberon i energicznie zaczął popędzać nauczycieli w kierunku sali posiedzeń pedagogicznych. – Proszę nie oglądać się i nie ociągać się.

Ilustr. Antoni Chodorowski

A więc stało się to najgorsze! Podpadliśmy. Definitywnie i bez żadnej nadziei... Ta sesja zadecyduje o naszym losie. Postanowiłem nie uronić z niej ani słowa. Wiedziałem, co teraz zrobię. Nie wahałem się ani chwili. Byłem przecież reporterem gazety. To należało do obowiązków reportera. Zakradłem się natychmiast pod okno sali konferencyjnej od strony ogrodu. Nie byłem pierwszy. Matylda Opat już znajdowała się tam na posterunku. Podobna do wielkiego czarnego pająka siedziała na wysokiej gałęzi tuż koło okna z aparatem fotograficznym w pogotowiu i huśtała się beztrosko.

– Uważaj, spadniesz! – syknąłem przestraszony.

Ale ona roześmiała się tylko rozbawiona i zaczęła popisywać się przede mną akrobatyczną sprawnością, skacząc jak córka Tarzana po gałęziach, to znów kołysząc się na lianach... A ja zastanawiałem się zdumiony, skąd u niej takie talenty i skąd takie wielkie, obrośnięte lianami drzewa koło naszej szkoły – zupełnie jak w tropikalnej dżungli.

Lecz oto moją uwagę zwrócił przykry hałas na korytarzach szkolnych. To właśnie pierwsze tabuny szczurów wdarły się do budynku. Nauczyciele zastygli na swoich miejscach przy stole konferencyjnym i przysłuchiwali się tupotowi szczurzych łapek.

– Co to takiego?! – zmarszczyła brwi polonistka, pani Szymańska. – O tej porze młodzież buszuje po szkole? Biegają po korytarzach?

– Pewnie podsłuchują – zauważył ponuro pan Gargul.

– Podglądają nas przez dziurkę od klucza! – oburzyła się pani Tromboniowa od geografii.

– Horrendalne do kwadratu – powiedział pan Dziobas, matematyk.

– Skandaliczne!

– I od razu całe tabuny!

– Przepędzę ich! – pan Dziobas powstał mężnie i wypiął wąską, intelektualną pierś.

– Niech pan siada – rzekł spokojnie Oberon.

– Co?! Dlaczego?!

– To nie uczniowie. To coś gorszego.

– Czy może być coś gorszego od uczniów?

– No, chyba tak...

– To kto tam biega?!

– Szczury.

Nauczycielki wydały okrzyk przerażenia i zerwały się z miejsc. Ale w tej samej chwili znieruchomiały, jakby ktoś przygwoździł je do podłogi. Oto bowiem przez szparę między drzwiami a podłogą przecisnęło się do sali kilka szczuplejszych szczurów i zaczęło biegać wzdłuż stołu konferencyjnego.

– Proszę zachować spokój – rzekł Oberon. – Tylko spokój może nas uratować. – Kolego Pelman, proszę usunąć te szczury.

– Może jednak najpierw ewakuujemy koleżanki? – zaproponował pan Gargul.

– Ale tylko na półki! – zastrzegł Oberon. – Będą mi zaraz potrzebne do konferencji.

– Tak jest, panie dyrektorze – skłonił się lekko pan Gargul, po czym z pomocą pana Dziobasa zaczął wsadzać koleżanki na półki przy ścianie. Każda z wystraszonych niewiast prosiła, by posadzić ją jak najwyżej, tylko pani Czupurska od WF, jako najbardziej wysportowana, poradziła sobie sama i wykonała samodzielnie wspaniały skok wzwyż lądując aż na szafie, gdzie stały słoje z wiśniami do produkcji sławnych pedagogicznych nalewek. Tu dzielna gimnastyczka odzyskała całkowicie spokój pedagogiczny i zaczęła razić tymi słojami szczury jak bombami, aż przerażone gryzonie uciekły z bolesnym kwikiem.

– Przedstawiam panią do odznaczenia medalem za dzielność – oznajmił Oberon. – Proszę zejść z szafy i przygotować się do dekoracji.

– Obawiam się, że nie potrafię – dopiero teraz ogarnął panią Czupurską prawdziwy strach. Spojrzała z szafy na dół i zadrżała.

– Kolego Dziubas, proszę zsadzić panią Czupurską z szafy.

Matematyk skoczył ochoczo i z pomocą pana Gargula zsadził panią Czupurską zaróżowioną uroczo z emocji. Oberon otworzył specjalnym kluczykiem szafkę, gdzie przechowywał druki urzędowe, blankiety dyplomów i medale. Wyciągnął stamtąd wielki złoty medal i już miał przystąpić do dekoracji pani Czupurskiej, gdy nagle rozległ się gdzieś niedaleko potężny łomot i huk, a potem pełne grozy krzyki:

– Woda idzie!

– Pękła zapora!

– Ostatnie wały przerwane!

– Powódź!

Więcej nic nie można było zrozumieć, bo straszliwy szum zagłuszył wszystko.

Przerażone grono nauczycielskie wybiegło na balkon. Właśnie pierwsze języki wody wdarły się na ulicę. A za nimi już szła spiętrzona fala z białą spienioną grzywą, unosząc z sobą jakieś znajome figurki... raz po raz niknęły w głębi, to znów wynurzały się na powierzchnię i mogliśmy rozpoznać ich skamieniałe twarze. To byli Defonsiacy – koledzy z sąsiedniej szkoły. Tylko Gruby Cypek dawał sobie nieźle radę z żywiołem. Płynął pękaty, nadęty jak balon z Adelą Wigor uczepioną kurczowo jego ręki. Zapewne utrzymywał go na powierzchni ochronny zapas tłuszczu i umiejętność nadymania się, którą ćwiczył systematycznie.

Nim przepłynęli koło naszej szkoły, szturmowy bałwan wodny na ulicy zmiótł cztery samochody, kiosk z gazetami i wózek Felusia Balona, zbieracza surowców wtórnych. Sprzedawca gazet odpłynął. Przez chwilę widziałem, jak wygląda zdziwiony z okna kiosku, a potem rozbił się o front zakładu pogrzebowego „Trumna". Feluś Balon miał więcej szczęścia, bo kotłująca się woda wepchnęła go ostatecznie do baru „Callypso", gdzie pomyślnie wylądował przy zastawionym bufecie.

Wkrótce potem w pirodze indiańskiej nadciągnął komendant obrony cywilnej naszego miasta, Lesławski, w towarzystwie strażaków z bosakami. Uchwyciwszy się rynny szkoły, aby nie uniósł go prąd, zawołał donośnym głosem przez tubę:

– Dyrektorze, proszę ewakuować szkołę! Ogłosiłem stan oblężenia. Czy pan mnie słyszy?

– Słyszę – odrzekł Oberon, po czym zwrócił się do grona nauczycielskiego:

– Koledzy, nastał czas próby! Sytuacja wymaga od nas najwyższych poświęceń. Czy jesteście gotowi? Kto jest niegotowy, niech podniesie rękę! – Popatrzył nauczycielom w oczy.

Niegotowych nie było.

– Oto nasza odpowiedź – rzekł dumnie Oberon do komendanta.

– Pana odpowiedź, lecz sądzę, że rada pedagogiczna uzna...

– Niech pana nie mylą indywidualne, anatomiczne szczegóły. To pozory. Ma pan przed sobą jedno ciało, wprawdzie wieloręczne i wielonożne, ale o jednej głowie. Ja jestem tą głową i przeze mnie przemawia całe ciało.

– Czy dobrze zrozumiałem?...

– Tak, zrozumiał pan dobrze. Odmawiamy ewakuacji. Honor szkoły nie pozwala na ten czyn.

– Niech pan się opamięta!

– To niemożliwe. Nie przerobiliśmy materiału. Jesteśmy opóźnieni.

– Uprzedzam, szkoła zostanie zalana!

– Przeniesiemy się na wyższe kondygnacje. Choćbyśmy mieli uczyć młodzież na dachu!

– Zginiecie z głodu!

– Nauka nas nakarmi – oświadczył z samozaparciem Oberon. – A biorąc rzecz ściślej, chemia. Kolego Pelman! – zwrócił się do chemika – proszę zademonstrować.

– Tak jest – pan Pelman wyciągnął nerwowo z kieszeni swego czarnego fartucha wielką szklaną probówkę i potrząsnął nią w powietrzu. Zagruchotało.

– Co to jest? – zapytał komendant.

– Pastylki kosmiczne – odrzekł krótko pan Pelman.

– Co takiego?

– Zapewniają przetrwanie przez wiele miesięcy. Nie odczuwa się głodu.

– Bzdura, żołądek musi mieć odpowiednią masę pokarmową.

– Możemy jeść stare zeszyty – odpowiedział pan Pelman.

– To szaleństwo! – komendant patrzył przerażony to na pana Pelmana, to na Oberona. – Gdzie ja jestem?!

– Jest pan wśród wysoko kwalifikowanych pedagogów, którzy traktują serio swoje posłannictwo. Może pan być spokojny, wytrzymamy każde oblężenie. Zostaniemy przy naszej drogiej młodzieży.

– Ale czy młodzież zostanie przy was? Według moich wiadomości już ewakuuje się, szczęśliwa, że nie musi się uczyć...

– To nieprawda! – zawołał Oberon rozglądając się dokoła. – Zaraz tu wszyscy wrócą. Niech tylko zabrzmi dzwonek. Panie Macoch, niech pan dzwoni.

– Niestety, woźny odpłynął – rzekł pan Gargul.

– Racja. W takim razie podajcie mi tubę.

Pan Gargul podał mu zwinięte arkusze z harmonogramem lekcji.

Oberon uczynił z nich tubę i zagrzmiał tubalnym głosem:

– Młodzieży, wołam do ciebie, zostań! Pokaż, jak kochasz swoją szkołę! Zostaliśmy tu dla was, poświęciliśmy się. Wróćcie! Nie odpływajcie!

Niestety, mimo tych wstrząsających apelów młodzież odpływała. Całymi gromadami przepływano koło Oberona w kajakach, na tratwach skleconych z byle czego, w baliach i w wannach, zaopatrzonych w prymitywne żagle z koszul i majtek, a niektórzy malcy odpływali nawet w szufladach wiosłując zajadle szuflami od koksu albo rakietkami od tenisa stołowego. Dziewczęta i chłopcy całymi gromadami przepływali wyzywająco pod nosem Oberona paląc ostentacyjnie papierosy.

– Cześć, Oberonie! – wołali bezczelnie. – Niepotrzebna nam już nauka! Zaczynamy swobodne życie! Czeka nas słońce, wiatr i przygoda! Chcemy, żeby nas uniósł wartki prąd! Ta wielka woda ma połączenie z oceanem. Popłyniemy daleko aż do mórz południowych!

– To straszna pomyłka! Wracajcie! Zabłądzicie! Nie znacie geografii! – krzyczała geograficzka, pani Tromboniowa.

– Byliście słabi z chemii! – krzyczał pan Pelman z rozwianym włosem i fartuchem. – W dzisiejszym świecie zginie, kto nie zna chemii!

– Młodzieży, opamiętaj się! – zaklinał przez tubę Oberon. – Nie jesteś przygotowana do samodzielnych wypraw, nie znasz zasadzek fortuny, utoniesz w zdradzieckich falach życia. Pozwólcie, drodzy moi, że was wyłowię – to mówiąc wspólnie z nauczycielami WF próbował łowić młodzież w siatki do siatkówki, ale bezskutecznie. Udało mu się złowić tylko paru gapiowatych mikrusów. Reszta uczniów odpływała w kłębach tytoniowego dymu, trąbiąc i gwiżdżąc na pożegnanie.

– Nie! Nie pozwalam – grzmiał Oberon. – Lizusi do mnie! – zawołał w przystępie rozpaczy, ale i lizusi odpływali tam, gdzie unosił ich prąd i gdzie rozdawano coca-colę oraz ciepłe czapki z nausznikami dla powodzian.

Odpływała także najlepsza uczennica w naszej klasie, Ela Melasińska, na pokładzie wielkiej drewnianej estrady, w pięknym kostiumie bikini, jak rusałka rozczesując sobie złote włosy... a za nią jej rywalka, znakomita Brunhilda Przypora w długiej balowej sukni, malując sobie czerwone jak dojrzewające wiśnie usta...

– Żegnaj, miła szkoło! – pomachały chusteczkami. – Już się nie zobaczymy!

– Ela, Brunia! Co to znaczy! Wracajcie! – krzyczały nauczycielki. – Błagamy was, zostańcie!

– Nie mogę – powiedziała Ela Melasińska smarując sobie ciało kremem. – Mamusia nie pozwoliła. Dostałabym kataru.

– Tu się zrobiło niezdrowo – dodała Brunia przeglądając się w srebrnym lusterku. – Za bardzo mokro i zimno!

– I pewnie będą komary.

– Wolimy popłynąć do Bułgarii.

– Żegnaj, miła szkoło.

– Żegnaj, Oberonie miły!

Ich głos coraz słabiej rozlegał się po wezbranej wodzie, aż zmieszał się zupełnie z szumem i pluskiem fal...

– Co tutaj robisz?! – usłyszałem nagle głos Zygmunta Gnackiego. Siedział jak zmokły gawron na sąsiednim drzewie, a koło niego przykucnął zziębnięty Kleksik. Był bardziej trupio siny niż zwykle i drapał się bardziej nerwowo niż zwykle.

– Obserwuję wypadki. Myślę, że przyda się do gazety – powiedziałem.

– Głupi jesteś. W takiej chwili myśleć o gazecie?! – jęknął Zyzio. – Lepiej pomyśl, jak się stąd wydostać. Posłałem po łódź Kękusia, dałem mu mój strój płetwonurka, ale jakoś nie wraca. Boję się, że porwał go prąd, albo Oberon złowił go do siatki. On miał zawsze takiego pecha!

– Tym razem pecha miał Oberon – usłyszeliśmy nagle wesoły głos. – Tak się zamachnął siatką, że wpadł razem z Czupurską do wody, a ja wciąż nurkując dopłynąłem aż do przystani sportowej na Zatruchlu i patrzcie, co przywiozłem!...

Rozejrzeliśmy się dookoła. To był głos Kwękacza, ale nikogo nie było widać, tylko nad wodą unosił się potężny kłąb mgły czy też dymu.

– Nic nie widzimy – powiedziałem.

– Podmuchajcie trochę, to zobaczycie – odrzekł Kwękacz.

Nabraliśmy powietrza w płuca i zaczęliśmy dmuchać. Dym rozwiał się od razu i ujrzeliśmy najpierw zadarty nos Kwękacza, a potem jego szympansią twarz rozjaśnioną w triumfalnym uśmiechu. W ustach trzymał grube cygaro i kurzył jak parostatek. Siedział w prawdziwej łodzi wyścigowej dla czterech wioślarzy ze sternikiem i niedbale poruszał wiosłami. Podpływał do nas, za każdym ruchem wioseł wypuszczał nowy kłąb dymu z cygara.

– Skąd masz tę łódź?! – zapytaliśmy z podziwem.

– Podwędziłem Maciusiowi z Zatruchla.

– Wsiadajmy – powiedział ochoczo Zyzio.

Kleksik dygocząc więcej z emocji niż z chłodu spuścił się ostrożnie do łodzi obładowany teczkami materiałów redakcyjnych. Pod pachą ściskał kurczowo aparat telefoniczny.

– Pospieszcie się – przynaglał Kękuś. – Musimy szybko uciekać, bo Zatruchlacy już płyną.

– Musimy zabrać Madzię – powiedziałem.

– Nie ma miejsca. Ja będę sternikiem, wy trzej do wioseł.

– No więc zostanie jeszcze jedno...

– To miejsce dla Chrząszcza – powiedział Gnat. – Matylda Opat spuchłaby od wiosłowania. Dlatego zabieramy Chrząszcza. Wsiadaj, Chrząszcz! – skinął zachęcająco na drugorocznego Chrząszcza, ale on nie reagował. Stał uśmiechnięty w oknie budy i oparty leniwie o framugę bawił się jak od niechcenia piłką nożną...

– Czy jesteś głuchy?!! – zdenerwował się Gnat.

Chrząszcz potrząsnął głową.

– Ja zostaję – powiedział.

– Oszalałeś?!

– Przyzwyczaiłem się do budy. Tu mi dobrze.

– Myślałem, że jej nie cierpisz. Sam przecież namawiałeś nas niedawno do skoku.

– Mówiłem tak w chwili rozgoryczenia – wyznał zawstydzony Chrząszcz. – Z powodu Bambosza, wiecie, że to był oszust, który tu się ukrywał pod płaszczykiem wzorowego woźnego. Ale teraz wszystko się odmieniło. Patrzcie, Bambosz odpływa, teraz wszystko się ułoży...

Spojrzeliśmy. Zza rogu szkoły wypłynęła wielka łajba. Wcale nie można było poznać, że jest z gumy. Wyglądała jak statek piracki. Na mostku kapitańskim stał Bambosz, lecz odmieniony już zupełnie, bez czarnego fartucha, ten jego roboczy czarny fartuch powiewał już wysoko na maszcie. Twarz zaczynała mu już porastać rudą szczeciną, ubrany był w strój marynarski, stał w rozkroku na swoich krótkich nogach, zbrojny w wielki uniwersalny odkurzacz.

– Porasta żeglarską brodą! – wykrzyknął z podziwem i z zazdrością Gnat.

– Kto by pomyślał!

– Płynie do Kanady pod czarną flagą – mruknął ponuro Kwękacz.

– Pigmej jest z nim – podniecony Kleksik wskazał na małego człowieczka, który manipulował sterem.

– I cały personel szkoły – dodałem. – palacz Nowicki, sprzątaczki: Lonia, Zosia i Mania...

– I kucharka Mateczka z pomocnicami...

– Wszyscy posępni i dumni.

– Nie żegnają się nawet z Oberonem.

– Przepływają bez zatrzymania...

– Nie! Patrzcie, zwalniają. Bambosz daje znak...

– Tuż koło frontowej ściany szkoły.

– Bambosz podnosi tubę... Krzyczy coś. Cicho... Posłuchajmy, co krzyczy.

Natężyliśmy słuch.

– Chcę mówić z panią Szyjkowską z kancelarii – zawołał Bambosz.

– Czego pan sobie życzy? – na balkonie obok gogów pojawiła się sekretarka Szyjkowska ze srebrnym lisem na szyi, lakierując sobie długie, wąskie paznokcie.

– Kocham panią! – oznajmił Bambosz.

– Co takiego?! Panie woźny, jak pan śmie! – oburzyła się pani Szyjkowska.

– Udawałem woźnego, aby być blisko pani – odrzekł Bambosz – lecz w istocie jestem piratem, moja miła, i proponuję ci uczciwe małżeństwo.

– Och, czy można wierzyć piratowi? – pani Szyjkowska zatrzepotała długimi rzęsami. – Jak pan sądzi, panie dyrektorze?!

– To człowiek dwulicowy i podejrzany – odparł Oberon. – Niech pani mu nie wierzy. On ma pryszcze pod szatą i plamę na sumieniu.

– Nie wierzę panu – rzekła do Bambosza Szyjkowska.

– Cóż łatwiejszego, jak przekonać się – powiedział Bambosz. – Zapraszam panią na rejs gratisowy, w moje rodzinne strony, a przekona się pani, że należę do starej arystokracji morskiej i wiodłem żywot pirata pracowity i skromny, z dala od wielkomiejskich pokus i wszelkich gniazd rozpusty, gromadząc skarby dla przyszłej wybranki mego serca. Och, płyń ze mną, a uczynię cię królową mórz południowych!

– Niech pani mu nie wierzy, on tylko tak panią kusi – rzekł Oberon.

– Nie, nie, boję się! – zawołała pani Szyjkowska.

– Nie oprzesz mi się – powiedział Bambosz. – Na wodzie moja wola jest prawem.

– Oprę się! – pani Szyjkowska oparła się mocno o balkon i zacisnęła dłonie na poręczy.

W odpowiedzi Bambosz zaśmiał się krótko śmiechem wilka morskiego, po czym wycelował w panią Szyjkowską swój gigantyczny odkurzacz. Biedna kobieta nie zdołała nawet wykrztusić słowa i została natychmiast wessana do wielkiej tuby aparatu.

Nauczyciele na balkonie popatrzyli po sobie ze zgrozą.

– Teraz Pelman – powiedział Bambosz.

– Co? Dlaczego ja? – przestraszył się chemik.

– Podobasz mi się – powiedział Bambosz. – Umiesz robić pastylki kosmiczne i inne rzeczy, które przydadzą się piratom. Dlatego postanowiłem cię wyciągnąć z tej budy i zabrać z sobą.

– Płyń sam – odparł Pelman. – Ja się poświęciłem dla młodzieży.

– Nie bądź głupi. Skacz do łodzi! – zagrzmiał Bambosz, a gdy Pelman się wzdragał, znów sięgnął po swój gigantyczny odkurzacz.

– Nie... tylko nie to! – krzyknął przerażony pedagog i chciał uciec do klasy, ale już było za późno. Straszliwa siła ściągnęła go z balkonu i zaczęła wsysać do rury. Dzielny chemik nie dał jednak za wygraną. W ostatniej chwili wykonał w powietrzu rozpaczliwy rozkrok, tak że odkurzacz wessał mu tylko jedną nogę. Wstrzymaliśmy oddech w piersiach. Przez chwilę trwała dramatyczna walka pedagoga z aparatem. Wreszcie udało mu się mocno uchwycić krawędzi prawą ręką, a lewą – sięgnąć do kieszeni fartucha i wydobyć stamtąd jedną z tych tajemniczych probówek, które stale nosił przy sobie. Podniósłszy ją do wysokości nosa i sprawdziwszy jej zawartość krótkowzrocznymi oczyma, wrzucił ją do gardzieli odkurzacza. Skutek był natychmiastowy. Rura ssąca wybrzuszyła się nagle, rozdęła jak balon, zakrztusiła potężnie i kichnęła, po czym z jednej jej strony wyleciał kłąb żółtego dymu, a z drugiej uwolniony pan Pelman.

Bambosz z niedowierzaniem obejrzał aparat, a potem zawołał ze złością do Pelmana:

– Stary cymbale, chciałem cię uratować, ale na upór nie ma lekarstwa. Więc giń ty i pchły twoje!

– Ty zginiesz pierwszy – dyszał pan Pelman. – Zobaczysz, zjedzą cię rekiny!

– A ciebie zje po kawałeczku twoja kochana młodzież! – Bambosz zaśmiał się szyderczo i krzyknął do swoich ludzi: – Rozwinąć wszystkie żagle! Odbijamy!

– No, odpłynął nareszcie! Niech wszyscy diabli dmuchają mu w żagle – odetchnął Chrząszcz. – Teraz się wszystko ułoży.

– Nie sądzę – wycedził Gnat. – Bambosze przychodzą i odchodzą, ale Oberon pozostaje. Oberon i jego niesłychane wymagania. On się nie zmieni.

– Zapytajmy go! – zaproponował Kleksik.

– To doskonały pomysł – zadrwił Gnat. – Uspokoicie swoje sumienie.

– Zapytajmy go – powiedziałem. – To naprawdę uspokoi nasze sumienie.

Podpłynęliśmy do Oberona.

– Życie młodzieży w tej szkole stało się zbyt kłopotliwe. Czy pan nas zwolni od przykrych obowiązków i trudnych inicjatyw z uwagi na stan oblężenia? – zapytałem oficjalnym głosem.

– Nigdy nie zwolnię was od inicjatyw i obowiązków – odrzekł Oberon. – Nigdy... nigdy!... – przerażający głos toczył się po czarnym lustrze wody.

– Sam widzisz, Chrząszcz – westchnął Gnat. – On jest uparty i nieustępliwy. Z nim nie można dojść do zgody. Wsiadaj, odpływamy!

Ale Chrząszcz nie słuchał w ogóle tego, co się tu mówiło. Od dawna już był całkowicie pochłonięty grą w piłkę wodną wraz z chłopakami ze swojej paczki. Radośnie baraszkowali w wodzie na opustoszałych ulicach jak stado beztroskich delfinów.

– Głupcy – wycedził pogardliwie Gnat. – Zatem ruszamy! Siadajcie do wioseł!

– Jest jedno miejsce wolne – zauważył Kleksik.

– Zabieramy Matyldę – powiedziałem.

– Nie, żadnych dziewczyn! Ona rozbije naszą paczkę!

– Głupi przesąd! Ja nie ruszę stąd bez Matyldy...

– Nie będziesz rządził! – Zyzio uderzył mnie w twarz.

Krzyknąłem i obudziłem się. Przez chwilę leżałem spocony, zanim uświadomiłem sobie, że to był tylko sen.

Edmund Niziurski

Napisał Ryszard Przymus
Ilustrowała Bożena Truchanowska

RANDKA Z NIEZNAJOMĄ

Było niedzielne, słoneczne popołudnie. Stałem przy oknie i patrzyłem na ulicę, którą spacerowali ludzie. Rodzice z Moniką pojechali na imieniny do ciotki Urszuli, ale ja wolałem zostać w domu niż nudzić się na rodzinnym przyjęciu i wysłuchiwać rozmów, które mnie nie interesowały. Właśnie zastanawiałem się, na jaki film warto by się wybrać, gdy zadzwonił telefon.

– Cześć, stary! – pozdrowił mnie Wojtek, kolega z klasy. – Dobrze, że cię zastałem. Słuchaj, Krzysiek, mam do ciebie wielką prośbę. Może się zdziwisz, ale tylko ty możesz uratować sytuację. Czy masz truchę czasu, o drugiej?

– Mam. O co chodzi?

– Zaraz... Tylko obiecaj, że się nie obrazisz?

– Nie zgrywaj się, mam tylko 20 z tych, więc...

– Nie, nie chodzi o pożyczkę... jest taka sprawa – wydusił wreszcie. – Miałem się dzisiaj spotkać z pewną dziewczyną, właśnie o drugiej pod pomnikiem Sobieskiego koło Łazienek.

– Jaki to ma związek ze mną? – zniecierpliwiłem się.

– Ma... Bo widzisz, ja nie będę mógł pójść na to spotkanie. Dostałem bilety na mecz Gwardia-Legia i idę z moim starym... Mówię to tylko do twojej wiadomości...

– To przecież jasne...

– Czy... czy mógłbyć pójść zamiast mnie na to spotkanie?

– Ja?! Chyba zwariowałeś? Jak to: mam iść na randkę z twoją dziewczyną? Doprawdy, nie rozumiem ciebie.

– Nie musisz rozumieć... Słuchaj, stary! Ona będzie tam o drugiej. Na imię ma Elżbieta, a będzie ubrana w brązowy kożuszek, czerwoną czapeczkę, taką wełnianą... Aha, nosi zieloną torebkę i okulary. Podejdziesz do niej i powiesz: mój kolega nie mógł dzisiaj przyjść, a jutro będzie czekał na ciebie przed szkołą... Nie musisz nawet wymieniać mojego imienia. Ona i tak będzie wiedziała, o kogo chodzi. To wszystko! Nic nie dodawaj, nic nie odejmuj, bo się pomylisz i w końcu wygadasz, że poszedłem na mecz... No, jak?

– No, dobrze... – zgodziłem się, ale nie mogłem się powstrzymać od uwagi: – chyba ci wcale nie zależy na tej dziewczynie, skoro wolisz mecz, a poza tym, czy nie mógłbyś jej sam powiedzieć tego przez telefon?

– Ona nie ma telefonu, mieszka w innej dzielnicy i nawet nie wiem, gdzie...

– Ładna znajomość... – zauważyłem krytycznie.

wokół nastolatków

Wojtek zakasłał na linii i powiedział jakimś dziwnym głosem:

– Właściwie to jej jeszcze nie znam... Wiesz, jak to jest z dziewczynami...

– Rozumiem. Początek znajomości?

– Można by to i tak określić... No więc jak, stary?

– W porządku. Powiem jej to, co chcesz, bądź spokojny...

– Dziękuję. Zadzwonię wieczorem do ciebie. Cześć!

Odłożyłem słuchawkę i zerknąłem na zegar. Było w pół do drugiej, a do pomnika Sobieskiego miałem niedaleko. Uśmiechnąłem się do siebie: taka przygoda... A jednocześnie poczułem żal i zazdrość... Żal, że taki Wojtek może przebierać między dziewczynami i nawet nie przychodzić na randki, wysyłając na nie swoich zastępców. I zazdrość, że ja nie mam szczęścia do dziewczyn, bo jestem „nienowoczesny", jak mnie ocenił klasowy ekspert od sercowych spraw, Jurek Kwapik. Ale dzisiaj będę miał swoją pierwszą randkę... Randkę z nieznajomą dziewczyną i będzie to najkrótsza randka świata!... No, cóż, dobre i to...

Wyszedłem z domu i wkrótce byłem w pobliżu pomnika. Już z daleka rozpoznałem dziewczynę opisaną mi przez Wojtka i zwolniłem kroku. Zadanie było proste, ale mimo wszystko, nie bardzo wiedziałem, jak rozpocząć akcję. Zbliżyłem się do pomnika zwycięzcy spod Wiednia i zacząłem mu się uważnie przyglądać... Dziewczyna spojrzała na mnie obojętnie i popatrzyła niecierpliwie na zegarek. Zaniepokoiłem się: jeszcze gotowa odejść, a ja nie zdążę spełnić obietnicy... Trzeba działać! Zerknąłem dookoła, ale w pobliżu nie było nikogo. To mi dodało otuchy. Podszedłem do dziewczyny i zapytałem:

– Przepraszam... Czy koleżanka ma na imię Elżbieta?

– Tak, ale skąd... Przecież my się nie znamy – powiedziała zaskoczona. I popatrzyła na mnie nieufnie.

– Wszystko w porządku... – uspokoiłem ją. – Miałaś spotkać się tutaj o drugiej z moim kolegą?

– Tak... Ale nie rozumiem...

Poprawiła okulary i chciała odejść.

– Przyszedłem tutaj na prośbę kolegi, który nie może dzisiaj się spotkać z tobą, a jutro będzie czekał na ciebie przed szkołą. Bardzo przeprasza...

– Tak... Dziękuję ci...

– Krzysztof.

– Dziękuję ci, Krzysztof. W którą stronę idziesz?

– Obojętne...

– To chodźmy razem. Gdzieś tutaj niedaleko powinien być przystanek.

Szliśmy obok siebie ulicą, która spadała w dół łagodnym zboczem wśród drzew pełnych zachodzącego słońca. Było mi żal dziewczyny. Ja bym zrezygnował dla niej z najciekawszego meczu... Była ładna, miała ciemne włosy, a okulary dodawały jej jakiejś miłej, łagodnej powagi. Zatrzymaliśmy się na przystanku. Elżbieta popatrzyła na mnie i powiedziała:

– Jeszcze raz dziękuję. A Jurkowi powiedz...

– Jakiemu Jurkowi?! – zawołałem zdziwiony.

– No, przecież z nim się umówiłam na randkę, na pierwszą randkę. Wczoraj poznaliśmy się na zabawie w moim liceum, u Kopernika... Myślałam, że przyjdzie, ale to widać niesolidna firma...

Słuchałem tego w zdumieniu, wreszcie powiedziałem:

– Więc miałaś spotkać się z Jurkiem?

– Tak.

– Ależ to niemożliwe! Przecież wysłał mnie do ciebie Wojtek. – W tym momencie zdenerwowałem się okropnie. Czyżbym przez pomyłkę zaczepił inną dziewczynę? Rysopis i opis były zgodne z instrukcją Wojtka, ale... ale na świecie są przecież sobowtóry, a dziewczyny lubią ubierać się czasem podobnie, a nawet tak samo. Ta moda...

Nadjechał autobus, ale ja zatrzymałem Elżbietę.

– Pojedziesz następnym – poprosiłem ją. – Muszę poznać prawdę. Z kim byłaś naprawdę umówiona?

– Z Jurkiem. Z Jurkiem Kwapikiem. On chodzi do liceum Sowińskiego... Znasz go?

– Chodzi do mojej klasy...

– Teraz ja nic nie rozumiem... Zjawił się wczoraj na zabawie, cały czas tańczył ze mną. Skąd się wziął u nas? Pewnie jakiś kolega z naszego liceum go wprowadził... Ale o żadnym Wojtku nie słyszałam...

Cała historia była dla mnie tajemnicza. Postanowiłem ją wyjaśnić teraz i zaraz, niepomny na słowo dane Wojtkowi... Wziąłem Elżbietę za rękę i odezwałem się:

– Podsumujmy... Wczoraj na zabawie poznałaś Jurka, kolegę z mojej klasy, ale na randkę umówiłaś się z Wojtkiem, którego nie znasz...

– Umówiłam się przed pomnikiem Sobieskiego z Jurkiem! – zawołała zirytowana. – Co ty mi opowiadasz o jakimś Wojtku...

– Zaraz... Widzisz, prawie dwie godziny temu zadzwonił do mnie Wojtek i powiedział, że umówił się z dziewczyną pod pomnikiem króla Jana... Podał mi twój opis, imię... Zaczekaj... „Przecież Wojtek tak bardzo nalegał, aby nie wymieniać jego imienia, a poza tym bardzo przyjaźni się z Jurkiem, nawet siedzą w tej samej ławce..." – pomyślałem i wszystko stało się jasne.

– Już wiem! – zawołałem tryumfalnie.

Elżbieta popatrzyła na mnie w milczeniu.

– Wszystko się zgadza... – wyjaśniłem jej. – Na pewno tańczyłaś z Jurkiem i z nim miałaś się spotkać, ale on chyba nie miał dzisiaj czasu.

„Oczywiście, nie chciałem jej mówić, że Jurek to znany podrywacz, widziałem go przez okno, jak szedł z jakąś dziewczyną. Ale to nie moja sprawa". Zrobiło mi się jej żal, toteż dodałem:

– Coś go musiało ważnego zaskoczyć w ostatniej chwili i dlatego poprosił Wojtka, który mieszka w tym samym domu, aby poszedł na spotkanie i przeprosił cię w jego imieniu. Ale Wojtek miał bilety na mecz i zadzwonił do mnie. Dlatego tu jestem i przekazuję, że Jurek będzie czekał na ciebie jutro przed szkołą po lekcjach...

– Dziękuję ci, zastępco zastępcy... – powiedziała Elżbieta i uśmiechnęła się. – Żałuję tylko, że mam zmarnowane popołudnie – dodała.

– Wcale nie, Elu! – zawołałem niespodziewanie dla samego siebie. – Wiesz, moglibyśmy pójść do kina na „Inną". To niedaleko... I nie gniewaj się na mnie. Gdyby to o mnie chodziło... Zawsze przyszedłbym na randkę z tobą, osobiście...

– Naprawdę? – uśmiechnęła się moja, już trochę znajoma – nieznajoma. – To chodźmy do tego kina.

I poszliśmy. Moja pierwsza randka wcale nie była najkrótsza na świecie, jak myślałem. Po filmie odprowadziłem Elżbietę do domu, jakbym znał ją od dawna. Wróciłem około dziewiątej, rodzice byli jeszcze u ciotki. Długo patrzyłem w okno i myślałem o dzisiejszym spotkaniu. Nagle przypomniałem sobie Wojtka. Zadzwoniłem.

– Ach, to ty, Krzysiek? No, jak? Dzwoniłem do ciebie już dwa razy...

– Takie kawały, stary, to się robi na prima aprilis – powiedziałem poważnie, ale w chwilę potem roześmiałem się. – Powiedz Jurkowi, żeby nie przychodził pod liceum Kopernika, jutro...

– Jurkowi! Jak to? Domyśliłeś się wszystkiego? Rozumiem... Ale co ja powiem Jurkowi?

– To, co zechcesz! Możesz na przykład go poinformować, że jutro ja mam randkę z Elą i zastępca nie będzie mi potrzebny.

„Zastępca"

KRÓTKIE SPIĘCIA

O głośnikach i złej opinii

„W naszej szkole wprowadzono centralne ogrzewanie oraz założono głośniki. Oczywiście jesteśmy z tego zadowoleni, bo ciepło mamy w całej szkole, a śpiew przez głośniki umila nam czas na przerwach. Lecz kiedyś zdarzyła się przykra sprawa. Centralne ogrzewanie przestało grzać, a przez głośniki słychać było tylko w naszej klasie. Ponieważ od szeregu lat uważają nas za najgorszą klasę, więc powiedziano, że to myśmy zepsuli głośniki. Nie możemy się pogodzić z tą krzywdzącą opinią. Mówiliśmy wychowawcy naszej klasy, że to nie my, lecz on także nas podejrzewa.

Proszę was, droga redakcjo, w imieniu całej klasy o wyjaśnienie, dlaczego nas niesprawiedliwie posądzają. Nie zostaliśmy wprawdzie ukarani, ale czy zawsze musimy być uważani za najgorszą klasę?

Z listu czytelniczki

Sprawa jest bardzo typowa. Często się zdarza, że wszelkie podejrzenia spadają na tego „najgorszego". Nawet wtedy, gdy brak jest podstaw do podejrzeń. Jak się ma złą opinię – łatwiej można podpaść. A gdzie sprawiedliwość? Czyżby nie było sprawiedliwości?!

Być może przyczyną popsucia głośników było... krótkie spięcie. Dlatego list wydrukowaliśmy w tej rubryce, prosząc jej autora o dodanie komentarza. Oddajemy głos Panu Garczyńskiemu:

Nie ma sprawiedliwości?

Powiedzmy ostrożniej: nie ma idealnej sprawiedliwości. Jednym z czynników, który utrudnia rzetelny sąd, jest raz wyrobiona opinia. Może się zdarzyć, że piątkowy uczeń dostanie jeszcze jedną piątkę za odpowiedź, za którą trójkowy dostanie najwyżej czwórkę. Wiadomo, że jeżeli ktoś wybije szybę, to podejrzenie padnie na chłopców, którzy już przedtem jedną wybili. Jeśli zapalą się papiery w koszu od śmieci, to winnego upatrywać się będzie w chłopcu, którego onegdaj widziano na korytarzu z papierosem ukrytym w garści. Oskarżenia niesprawiedliwe, lecz opinia może zasłużona.

Przyznam się Wam do czegoś brzydkiego... Za szkolnych czasów postanowiłem zarobić sobie na opinię absolutnie prawdomównego po to, by... gdy zrobię coś rzeczywiście groźnego, nauczyciele uwierzyli memu zaprzeczeniu. Przyznawałem się więc do różnych drobnych sprawek. Ta część planu udała się znakomicie. Dalej było już gorzej. A jak to było... Nie, i teraz się nie przyznam, bo mi wstyd... W każdym razie szybko straciłem swoją dobrą opinię.

Moje uwagi mają być odpowiedzią na narzekania tych, których niesprawiedliwie osądzono. Tych, którzy martwią się, że nikt im nie wierzy. Że gdy coś „nawali", to winę zawsze na nich się zrzuca. Tak, właśnie tak jest. Długo korzystamy z dobrej opinii, długo i słono płacimy za to, że dopuściliśmy do powstania złej. Tak w szkolnym świecie, jak i w ogóle wszędzie. Pracownik, na którym można polegać, dalej za takiego uchodzi, nawet gdy raz i drugi zawiedzie, a ten, który zawiedzie parokrotnie zaraz na początku swej kariery, zanim jeszcze da się lepiej poznać, uchodzi za niesolidnego i trudno mu zmienić o sobie opinię.

Dlatego tak ważny jest dobry start. I dlatego wszystkie „najgorsze klasy", a szczególnie te, do których od samego początku ich szkolnej kariery przylgnęła taka opinia, muszą się dobrze postarać, żeby ją zmienić. Konieczna jest jednak przy tym wytrwałość.

Stefan Garczyński

P.S. Niesłusznie podejrzanej klasie radzimy, aby na najbliższej lekcji wychowawczej ułożyła sobie Plan Odbudowy Opinii. W pierwszej kolejności postarajcie się odbudować zaufanie swego Wychowawcy, który – jeśli będzie Wam ufać – w przyszłości obroni Was przed niesłusznymi podejrzeniami.

Redakcja

Fot. Aleksander Piekarski

3 miliony młodzieży jest już w szeregach ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO

Taką ogromną rzeszę młodzieży reprezentują na VI Zjeździe ZHP delegaci z całego kraju. Właśnie na tym Zjeździe, zwołanym w Warszawie w dniach 28–29 marca, trzymilionowy harcerz przyjęty zostanie do szeregów tej organizacji.

Oto, jak w końcu ubiegłego roku przedstawiała się liczebność poszczególnych wojewódzkich chorągwi:

białostocka im. Walerego Wróblewskiego – 65 tys.
bielsko-bialska – 69 tys.
bielsko-podlaska – 27 tys.
bydgoska im. Marii Konopnickiej – 85 tys.
chełmska im. Manifestu Lipcowego – 22 tys.
ciechanowska – 43 tys.
częstochowska – 70 tys.
elbląska – 36 tys.
gdańska im. Bohaterów Ziemi Gdańskiej – 80 tys.
gorzowska – 42 tys.
jeleniogórska – 42 tys.
kaliska – 53 tys.
katowicka im. Bohaterów Pracy Socjalistycznej – 283 tys.
kielecka im. Stefana Żeromskiego – 84 tys.
konińska – 41 tys.
koszalińska im. I Armii Wojska Polskiego – 40 tys.
krakowska im. Tadeusza Kościuszki – 75 tys.
krośnieńska – 44 tys.
legnicka – 51 tys.
leszczyńska – 28 tys.
lubelska im. PKWN – 74 tys.
łomżyńska – 36 tys.
łódzka im. Bohaterów Dzieci Polskich – 51 tys.
nowosądecka – 61 tys.
olsztyńska im. Grunwaldu – 59 tys.
opolska im. Bohaterów Powstań Śląskich – 100 tys.
ostrołęcka – 41 tys.
pilska – 38 tys.
piotrkowska im. Gwardii Ludowej – 55 tys.
płocka im. Władysława Broniewskiego – 54 tys.
poznańska im. Powstańców Wielkopolskich – 76 tys.
przemyska – 42 tys.
radomska – 55 tys.
rzeszowska im. Gen. Karola Świerczewskiego – 59 tys.
siedlecka – 62 tys.
sieradzka – 37 tys.
skierniewicka – 36 tys.
słupska – 39 tys.
suwalska – 51 tys.
szczecińska im. Budowniczych Polski Ludowej – 55 tys.
tarnobrzeska – 50 tys.
tarnowska – 55 tys.
toruńska – 56 tys.
wałbrzyska – 62 tys.
warszawska im. Bohaterów Warszawy – 95 tys.
włocławska – 38 tys.
wrocławska im. Bohaterów II Wojny Światowej – 79 tys.
zamojska im. Dzieci Zamojszczyzny – 48 tys.
zielonogórska im. Wojsk Ochrony Pogranicza – 61 tys.

być aktorką!...

– Być aktorką! – Ja wiem, to nie tylko moje pragnienie. Tysiące przede mną, tysiące razem ze mną – marzyło, marzy i będzie o tym marzyć. Ja jestem już studentką Warszawskiej Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej. Są tacy, którzy mi zazdroszczą. Nie wiedzą, jak długa i trudna była moja droga do szkoły.

Powiedziałam sobie jeszcze w szkole: „moje miejsce jest w teatrze". Kiedy robiłam przedstawienia, akademie, kabarety, wieczorki poezji – nigdy nie traktowałam tego jak zabawy. Sprawdzałam siebie, swoje aktorskie możliwości. Kiedy uczyłam się gry na pianinie, też myślałam: – to przyda mi się w teatrze.

Zbliżała się matura i trzeba było powiedzieć, że chcę zdawać do szkoły aktorskiej. Sprzeciw rodziców nie zdziwił mnie wcale. Pomyślałam sobie, że Ćwiklińskiej też nie chcieli pozwolić na to, aby była aktorką. Poszłam na egzamin dobrze przygotowana: kawałek prozy, wiersz, piosenka. Odpadłam... W pierwszej eliminacji; po pierwszych słowach tekstu komisja orzekła: wada dykcji. Jak to się stało, że nikt tego nie zauważył przedtem?... Dlaczego nie poszłam do poradni? Przecież przy Szkole działa stale i można tam sprawdzić, czy warunki zewnętrzne, głosowe, sprawność ruchowa – predestynują do zawodu aktora, czy też nie.

Mało kto jednak chodzi do poradni – bo po co ma się dowiadywać, że się nie nadaje?... Ale jeśli pomimo wszystko chce być aktorem?

Postanowiłam mimo porażki nie załamywać się, tylko ostro wziąć się do roboty. Cały rok brałam lekcje: tańca, rytmiki, muzyki, no i oczywiście lekcje dykcji. Ćwiczyłam jak Demostenes, tyle że zamiast kamyczków, wkładałam do ust koreczki. Po roku pojechałam na egzamin do Krakowa. Wszystko wskazywało na to, że egzamin wypadnie dobrze. Odpadłam... Oceniono bardzo nisko to, co przygotowałam. Podobno „za lirycznie" mówiłam swój tekst, byłam według egzaminatorów „za grzeczna".

Co robić? Rodzice uważali, że należy szybko zdawać na inny wydział. Byłam kiedyś dobrą uczennicą, uchodzę za inteligentną. Ale ja chcę być w teatrze, tylko w teatrze!

Uparłam się. Postanowiłam, że zacznę pracować jako adeptka. Dowiedziałam się, że w niektórych teatrach na prowincji przyjmują trochę młodzieży bez szkoły. Młodzi są potrzebni do małych ról, na nagłe zastępstwa. Ruszyłam „w Polskę". W piątym, z kolejno przeze mnie odwiedzanych teatrów, zostałam zaangażowana.

We wrześniu stawiłam się zgodnie z umową. Wynajęłam zimną komórkę-pokój i zaczęłam uczęszczać na próby. Jako widz. Do końca roku – nie postawiłam nawet nogi na scenie – za to przechodziłam kilka angin. Na święta pojechałam do domu. Matka ręce załamała. Zaczęło się intensywne odżywianie, wizyty u lekarza, stwierdzono początki anemii i nie wyleczone zapalenie oskrzeli. Dostałam wymówienie z teatru. Nic nie zostało mi oszczędzone. Ale ja i tak będę zdawać do szkoły jeszcze raz – postanowiłam.

Zabrałam się znów energicznie do pracy; nad fragmentem „Antygony", nad piosenką Polly z „Opery za trzy grosze". Ćwiczyłam dykcję, chodziłam na angielski.

Za trzecim razem – zaliczyłam. Myślałam, że oszaleję ze szczęścia!

Nauka szermierki

Lekcja tańca

Fot. Jerzy Troszczyński

Nauka makijażu

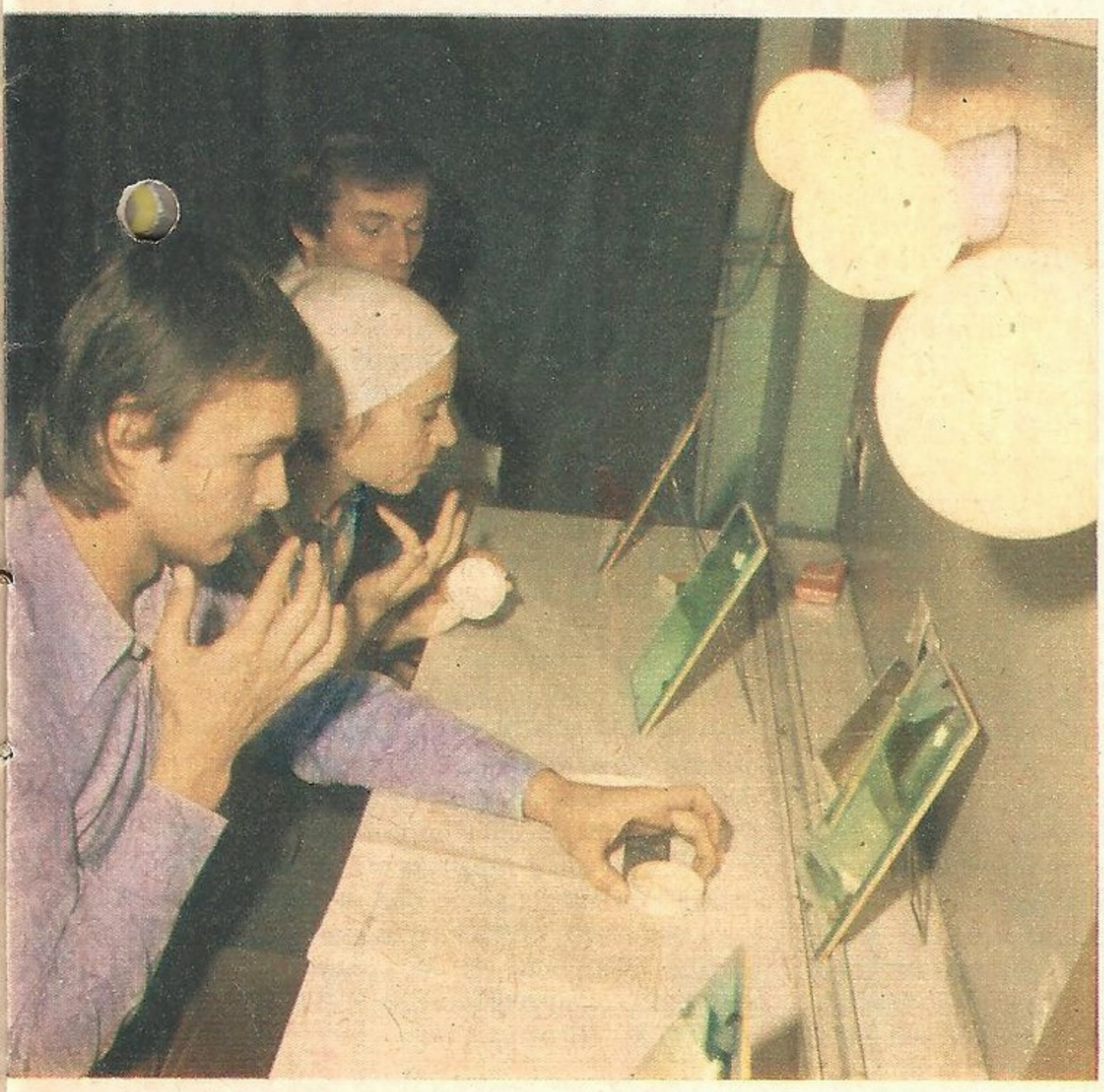

*

Jestem już drugi rok w szkole aktorskiej i ciągle jednakowo pilnie uczęszczam na wszystkie zajęcia. Tu liczy się przede wszystkim praca. Rzetelna, ciężka praca. Zajęć jest dużo. Na pierwszym roku mieliśmy pantomimę, balet, styl, dykcję, śpiew, grę na flecie – a poza tym zajęcia typu aktorskiego. Na początek małe etiudy, maleńkie niby-role. Każde z tych zajęć – wymagało jeszcze dodatkowych ćwiczeń w domu. Żeby je dobrze opracować, i dnia często nie starczało.

Jak wyglądał mój dzień w szkole? Rano – flet. Wszyscy musimy umieć grać na tym instrumencie – chodzi bowiem o umuzykalnienie, a w naszej grupie tylko ja i Anka uczyłyśmy się muzyki. Ważna jest gimnastyka. Ćwiczyliśmy każdy mięsień, zaczynając od palców, potem dłonie, całe ręce, barki, brzuch, biodra. Małe kółka klatką piersiową, wyciągnięte ręce nad głową, którą z kolei trzeba obracać, jakby była na śrubie. To niby proste, ale jak się uczciwie wszystko wykonuje – gnaty bolą. Jolka ćwiczyła z takim zapałem, że jej krąg szyi wyskoczył. Chodziła pół roku w kołnierzu usztywniającym.

Pantomima na pierwszym roku jest męcząca, ale mało efektowna. Wyższe lata mają ciekawiej – bo ruch sceniczny. Za to bardzo lubiłam styl. Uczono nas tu, jak wedle dawnego zwyczaju kłaniać się, siadać, spacerować, jak podawano dłoń w XVI, XVII, a jak w XIX wieku.

Naprawdę fajnie to jest wtedy, kiedy się robi jakieś zadanie aktorskie. Na pierwszym roku miałam takie polecenie: trzeba ratować tonącego. Staliśmy z kolegą na korytarzu i omawiali tę scenę. Trzeba to zrobić realistycznie – postanowiliśmy. Rzu-

Ćwiczenia aktorskie prowadzone przez prof. Zofię Mrozowską.
Fot. Lech Pempel

cam się więc na podłogę – niby do wody... W tym momencie podchodzi kolega z trzeciego roku i mówi: „Słuchałem waszej rozmowy i to, co mówicie o ratowaniu, jest nieprawdziwe. Ja jestem ratownikiem, mogę wam to wszystko wyjaśnić". Bardzo nam pomógł. W szkole chętnie koledzy sobie pomagają. Kiedy tylko mogę, staram się podpatrzyć, jak inne grupy pracują. Na pierwszy semestr na przykład grupa z drugiego roku przygotowywała u pani profesor Aleksandry Śląskiej fragmenty „Maskarady" – sztuki Jarosława Iwaszkiewicza o Puszkinie. U prof. Zofii Mrozowskiej na trzecim roku też przygotowywano tę samę sztukę. Każda jednak inscenizacja była inna.

Puszkin (to znaczy ten student, który grał Puszkina) u profesor Mrozowskiej miał za zadanie w scenie pojedynku przymierzyć się do strzału, ale w tym momencie sam zostaje ugodzony. Musi upaść, podnieść głowę, poprosić gestem o podanie mu pistoletu i jeszcze raz próbować strzelić. Ponieważ wydaje mu się, że trafił przeciwnika, powinien pokazać swoją radość, a potem... umrzeć. To wszystko wygrać w ciągu kilku chwil nie jest łatwo.

U profesor Śląskiej scena śmierci odbywała się w salonie. Trzeba było zagrać i ból, i rozpacz... i zawiedzione ambicje Puszkina. Też nieproste...

Podpatruję naszych profesorów, kiedy występują na scenie i tu, w szkole. Profesor Śląska wymawia każde słowo niezwykle wyraźnie, nawet z pewną przesadą. Swoich uczniów namawia, aby robili to samo. Tłumaczy: „Powinniście mówić pięknie. Wszędzie: w sklepie, w tramwaju. Powinniście tym mówieniem zwracać na siebie uwagę".

Każdy z profesorów ma swojego konika: dla jednego gest jest najważniejszy, dla innego wyrazistość mimiki twarzy. Wszyscy oczekują od nas, że będziemy oryginalni, a równocześnie „autentyczni".

Ale co to znaczy? Czy można osiągnąć ten swój własny, odrębny, wspaniały styl pracą? Jaka ja będę? Czy jedna będzie ze mnie aktorka?...

Zwierzenia studentki warszawskiej PWST
spisała Zuzanna Szydłowska

KSIĄŻKI DLA MIŁOŚNIKÓW TEATRU

W 1979 r. minie siedemdziesiąt lat od śmierci Heleny Modrzejewskiej, jednej z najwybitniejszych polskich aktorek. Mówi się wprawdzie, że sztuka aktorska jest najmniej trwała, gdyż realizuje się na oczach widzów podczas spektaklu i wraz z nim się kończy, to jednak legenda o Helenie Modrzejewskiej żywa jest do dziś nie tylko w kręgach aktorskich. Co było w jej grze, w jej życiu aktorskim, w jej indywidualności tak niezwykłego, że pamięć o niej przetrwała, a jej osobowość fascynuje ciągle nowe pokolenia. Radzimy Wam poszukać w bibliotekach książki Juliusza Kydryńskiego poświęconej Modrzejewskiej, zatytułowanej **„Gwiazda dwóch kontynentów"** (NK 1973, s. 229), a także biografii Józefa Szczublewskiego **„Żywot Modrzejewskiej"** (Warszawa 1975, PIW, s. 728). Ten sam autor napisał książkę o innym magu wyobraźni, odnowicielu polskiego teatru, reżyserze i aktorze, którego przed ostatnią wojną i tuż po wojnie oglądać mogli Wasi dziadkowie, o Juliuszu Osterwie, pt. **„Żywot Osterwy"** (Warszawa 1973, PIW, wyd. 2, s. 634). W tym samym czasie, co Osterwa, pojawiło się na scenie polskiej wiele gwiazd pierwszej wielkości. Wiadomości o nich znaleźć można w opowieściach biograficznych Edwarda Krasińskiego **„Stefan Jaracz"** (PWN 1976, s. 208, cena 25 zł), Kazimierza Biernackiego **„Józef Węgrzyn"** (Wydawn. Literackie 1973, s. 218), Alicji Okońskiej i Andrzeja Grzybowskiego **„Rozmowy z panią Miecią"** (LSW 1976, s. 208, cena 70 zł). Pani Miecia, to Mieczysława Ćwiklińska, którą najstarsi z Was mogli jeszcze zobaczyć na scenie lub poznać z przypominanych na małym ekranie dawnych filmów. Nazwiska tych i innych wybitnych aktorów powtarzają się też często w artykułach teatralnych i recenzjach Adama Grzymały-Siedleckiego zebranych w tomie **„Z teatrów warszawskich 1926-1939"** (Wybór: Małgorzata Kakiet i Alicja Okońska, oprac. M. Kakiet, wstęp: Bożena Frankowska. Warszawa 1971, Wydawn. Artystyczne i Filmowe, s. 326). Spotkacie je także w **„Szkicach o aktorach"** Henryka Szletyńskiego (Wydawn. Artystyczne i Filmowe 1975, s. 227), we wspomnieniach wybitnych aktorów – Jana Kreczmara **„Notatnik aktora i drugi notatnik aktora"** (PIW, 1971, s. 250), Janusza Warneckiego **„Najdłuższy mój monolog"** posłowie: Alicja Okońska, Czyt. 1971, s. 444). O najwybitniejszym chyba reżyserze z tamtych lat, twórcy „teatru ogromnego", Leonie Schillerze, pisali Edward Csató **„Leon Schiller"** (PIW 1968, s. 589), Stanisława Mrozińska **„Trzy sezony teatralne Leona Schillera"** (Łódź 1946–1949) (Oss. 1971, s. 302), Stanisław Marczak-Oborski w książce **„Życie teatralne w latach 1944–1964. Kierunki rozwojowe"** (PWN 1968, s. 306) i w **„Przewodniku teatralnym"** »Iskier«, opracowanym przy współudziale Natalii Bojarskiej, Jadwigi Cierniak i Barbary Lasockiej (Iskry 1971, s. 815, wyd. 2 poszerzone), gdyż żadne kompendium wiedzy o współczesnym teatrze nazwiska tego twórcy teatru nie może pominąć, jak i nazwiska Arnolda Szyfmana, który doprowadził do zbudowania w Warszawie nowoczesnego Teatru Polskiego i był przez wiele lat jego dyrektorem. Radzimy Wam przeczytać wspomnienie Jarosława Iwaszkiewicza **„Teatr polski w Warszawie** 1938–1949" (Wydawn. Artystyczne i Filmowe 1971, s. 113).

W ostatnich latach ukazało się też sporo małych monografii poświęconych wybitnym współczesnym aktorom, których możecie oglądać w teatrze, na „małym ekranie" i w wielu filmach. Są to m. in. następujące książki: Marii Czanerle **„Gustaw Holoubek. Notatki o aktorze myślącym"** (Warszawa 1972, s. 82), Michała Misiornego **„Andrzej Łapicki"** (Warszawa 1974, s. 81), Lidii Kuchtówny **„Barbara Kraftówna"** (Warszawa 1975, s. 48), Witolda Fillera **„Tadeusz Łomnicki"** (Warszawa 1976, s. 58) – ukazują się one w Wydawnictwach Artystycznych i Filmowych w serii **„Sylwetki Współczesnych Aktorów"**. O polskich i obcych aktorach pisze Czesław Michalski w książce **„Gwiazdy ekranu"** (KAW 1976, s. 239, seria „Wszystko o..."). Ale teatr to także scenografia. O jednym z najbardziej kontrowersyjnych scenografów i reżyserów współczesnych znajdziecie wiele wiadomości w książce Elżbiety Morawiec i Jerzego Madeyskiego **„Józef Szajna. Plastyka. Teatr"** (Wydawn. Literackie 1974, s. 156).

Kto poważnie interesuje się teatrem, a nie tylko ciekawostkami z życia aktorów i barwną teatralną anegdotą, temu radzimy przestudiowanie wielkiego dzieła, przetłumaczonego z jęz. angielskiego pióra Nicoll Allardyce **„Dzieje dramatu od Ajschylosa do Anouilha „Warszawa 1962, PIW, t. I, s. 496, t. II, s. 488)** oraz monografii Zbigniewa Raszewskiego poświęconej twórcy polskiego teatru narodowego, Wojciechowi Bogusławskiemu i jego epoce **„Bogusławski"** (Warszawa 1972. PIW, t. I, s. 438, t. II, s. 365).

Proponujemy Wam dziś książki bez „taryfy ulgowej". Kto chce zostać w przyszłości aktorem, reżyserem, scenografem czy krytykiem teatralnym, już teraz musi się do tej roli przygotowywać. Książek o dramacie, dziejach teatru i aktorstwie szukajcie w bibliotekach w katalogu rzeczowym i nie wahajcie się poprosić o pomoc dyżurnego bibliotekarza.

Kto natomiast chciałby popróbować swoich sił na scenie, niech się zaznajomi z **„Teatrem Młodzieży"** (praca zbiorowa pod red. Ireny Słońskiej, NK 1970, s. 314) i z wydaną niedawno książką Lidii Rybotyckiej **„Gry dramatyczne. Teatr Młodzieży"** (Wydawn. Szkolne i Pedagogiczne 1976, s. 148, cena zł 18).

hask

SZKARŁATNA RÓŻA

Oto następna porcja wypowiedzi uczniów o nauczycielach godnych odznaczenia „Szkarłatną Różą".
W następnym numerze podsumujemy naszą akcję, ogłosimy listę nauczycieli, którym przyznane zostało to symboliczne wyróżnienie, oraz nazwiska uczestników akcji, którzy otrzymają nagrody za najciekawsze wypowiedzi.

INTERESOWAŁA SIĘ KAŻDYM Z NAS

Jestem obecnie uczennicą trzeciej klasy Liceum Ogólnokształcącego, ale zdecydowałam się napisać o swojej ulubionej nauczycielce ze szkoły podstawowej, którą uważam za wzór prawdziwego pedagoga. Jest to polonistka, która przez cztery lata wpajała mi piękno ojczystej mowy, ojczystego języka, pomagała mi poznać ciekawych ludzi, ich życie i słynne dzieła.

Pani Helena Środulska (obecnie – Rossa) zawsze starała się być dla nas miła i dobra. Na jej twarzy widać było uśmiech, życzliwość i pogodę. Stopnie stawiała zawsze sprawiedliwie, nikt nigdy nie mógł powiedzieć, że niesłusznie otrzymał złą ocenę. Nasza Pani pragnęła, by wszyscy sami, bez przymusu pogłębiali swoją wiedzę. Jej lekcje były bardzo interesujące, nikt na nich się nie nudził; opowiadała nam ciekawostki z życia sławnych ludzi, organizowała porywające lekcje dyskusyjne. Przez dwa ostatnie lata mojego pobytu w szkole podstawowej była moją wychowawczynią. Nie zapomnę nigdy, ile pracy włożyła, by nam pomóc w naszych kłopotach. Interesowała się każdym z nas oddzielnie. Pamiętam np. dni, kiedy czule pocieszała i podtrzymywała na duchu koleżankę, która była bliska załamania psychicznego, tak mocno przeżywała rozwód swoich rodziców. Ciepłe słowa naszej Pani pomogły jej przetrwać ten trudny okres. Mnie poświęciła wiele czasu, gdy przygotowywałam się do olimpiady z języka polskiego. Dzięki niej udało mi się zajść dosyć wysoko, bo na jedno z czołowych miejsc na szczeblu wojewódzkim. Ona przeżywała to wszystko razem ze mną.

Była naszą „drugą mamą". Na Dzień Dziecka zawsze sprawiała nam małe prezenty. Tego dnia, gdy była ładna pogoda, zabierała nas w plener na ciekawe wycieczki, a przy okazji realizowała program, bo opisywaliśmy wrażenia, np. na temat: „Piękno naszej okolicy" lub „Krajobraz okolicy w czerwcu" i in.

Wszystkie takie i inne wycieczki były wesołe, niezwykłe i wszyscy chętnie brali w nich udział. Pamiętam wycieczkę w Góry Świętokrzyskie. Mimo że była pochmurna pogoda i padał deszcz, nasz autobus był wesoły. Pani Środulska zorganizowała w autokarze konkurs piosenki, który był zarazem koncertem życzeń.

Pani prowadziła szkolną bibliotekę, do której sprowadzała ciągle nowe, interesujące książki. Umiała doradzić, co i jak czytać.

Akademie i przedstawienia organizowane przez Naszą Wychowawczynię przyciągały wielu ludzi. Byliśmy nawet zapraszani przez różne organizacje, aby np. w przerwie zebrania wystąpić ze swoim programem. A kto zajmował się przygotowaniem?

Ona, wciąż ona.

W dzień naszego rozstania w ósmej klasie ofiarowaliśmy Jej własnoręcznie wykonany pamiętnik, z którego bardzo się ucieszyła. Gdy byłam już uczennicą LO i pewnego dnia odwiedziłam Ją, zauważyłam, że pamiętnik ten leży na głównym miejscu w Jej bibliotece.

Pragnę, by Pani Środulska-Rossa otrzymała „Szkarłatną Różę" w dowód, że Ją cenimy i jesteśmy jej niezmiernie wdzięczni za Jej trud i poświęcenie.

Aga

ZROBIŁA DLA NAS BARDZO DUŻO

Jesteśmy uczniami klasy VIIa Gminnej Szkoły Zbiorczej w Tyrawie Wołoskiej i postanowiliśmy napisać o pani Janinie Dłużewskiej. W naszej szkole pracuje Ona 4 lata i od czwartej klasy jest naszą wychowawczynią. Jest bardzo miła, dobra, dba o piękno mowy polskiej. Jest nauczycielką j. polskiego i historii, uczy codziennie więcej niż 8 godzin, ale zawsze znajduje czas dla nas – dla swojej klasy. Założyła „Kółko Esperanckie", na zajęciach w kółku uczymy się pisać w tym języku. Prowadzi bibliotekę, która jest czysta, wzorowa, wszystkie książki są obłożone. Jest druhną drużynową naszej 47 Drużyny Bieszczadzkiej, chodzi z nami w czasie wakacji na wycieczki, organizuje nam wolny czas. Teraz wybrała trasę na obóz wędrowny dwutygodniowy nad morze, oczywiście, jedziemy latem w czasie wakacji. Oprócz tego zwiedzamy całe Bieszczady i okolicę. Chcieliśmy też podkreślić, że to właśnie Ona postarała się o wyposażenie harcerskie. Nasza klasa z panią Janiną przygotowuje uroczystości, np. dożynki, apele. Ostatnio daliśmy Jej pseudonim „Nasza Mama". Uważamy, że zasługuje na takie drugie imię. Rozmawia z nami o przyszłych problemach życiowych. W ubiegłym roku zajęliśmy pierwsze miejsce w pracach społecznych na rzecz szkoły i wsi; każdy uczeń naszej klasy przepracował ponad 31 godzin. Kierowała nami „Nasza Mama". Zrobiła dla nas bardzo dużo, wskazując, jak żyć w ładzie, porządku i rozsądku. Uczy nas niekiedy więcej, niż przewiduje program, bo chce, żebyśmy w wyższych szkołach uczyli się jak najlepiej i doszli do celu. Jest dla nas bardzo dobra i serdeczna. Wierzymy w jej obietnice.

Prosimy Cię, Płomyku, aby za Twoim pośrednictwem nasza wychowawczyni została odznaczona dyplomem „Szkarłatnej Róży".

Uczniowie kl. VII a
(20 podpisów)

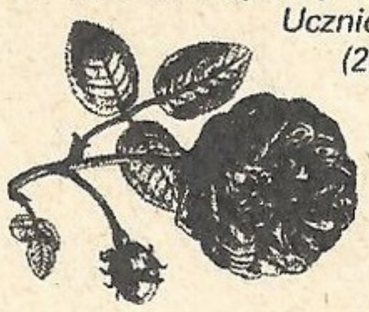

NA PRZEPROSZENIE...

1.IX.1970 roku. Ta data pozostanie mi na zawsze w pamięci. Wtedy to bowiem stałam się uczennicą I klasy Szkoły Podstawowej w Dzierzbach. Wychowawczynią naszą została Pani Henryka Wysokińska. I... od pierwszych chwil pozyskała nasze zaufanie. Rozmawiała z nami bardzo długo i serdecznie. Mówiła, że przez kilka miesięcy nasza „edukacja" ograniczać się będzie do rysowania przedmiotów, zwierząt, ludzi. I zaczęło się szkolne życie małych przedszkolaków. Mozolne stawianie pierwszych liter i cyfr, w którym to zajęciu pomagały wyciągnięte na całą długość języki. „Nasza" Pani była bardzo wymagająca, a zarazem wyrozumiała i opiekuńcza. Bywało i tak, że niektóre cyfry musieliśmy poprawiać 3–4 razy. Ale częściej była bajka, piosenka, inscenizacja opracowywana na jakieś szkolne lub narodowe święto. Już pod koniec roku szkolnego p. Wysokińska zorganizowała „Kółko Pomocy Krawieckiej". Tak tak – w klasie pierwszej! Kiedy przyszedł dzień, w którym otrzymaliśmy pierwsze w życiu świadectwa, większość uczniów czytała już płynnie. Nie na darmo byliśmy wychowankami pani od polskiego. W klasie II, III i IV dalsze pogłębianie wiedzy. Wychowawczynią naszą nadal jest p. Wysokińska. Pomaga nam w naszych „trudnych" sprawach. Uczy, jak kochać Polskę, przyrodę. Chodzimy na wspólne wycieczki do lasu, na sanki, ślizgawkę. Kleimy latawce. Jest cudownie. Mniej cudownie zaczyna się dziać w klasie V i VI. W klasie piątej przybywają do nas nowi uczniowie. Nie bardzo chce nam się uczyć. Wolimy zabawę, grę w piłkę. Pani Wysokińska stara się, jak może, wciąga nas do pracy w kółkach zainteresowań, prowadzi zajęcia w PCK, bibliotekę szkolną. Organizuje ciekawe konkursy z zakresu wiadomości o higienie osobistej, wybiera kolektyw biblioteczny. W kl. VI podejmuje opiekę nad kółkiem polonistycznym. Praca daje efekty. Jeden ze starszych kolegów zajmuje wysoką pozycję na olimpadzie polonistycznej. Pani Wysokińska nie zapomina też o tym, że jest nadal wychowawczynią. Pracuje usilnie, aby wyprowadzić na ludzi 34-osobową armię rozwydrzonych szóstoklasistów. Niestety, my często nie doceniamy Jej pracy i dochodzi do tego, że w klasie VII stajemy się najgorszą klasą w szkole, niektórzy chodzą na wagary, mamy okropne wyniki w nauce. Tylko nieliczni zaglądają do książek. Jednak pani Wychowawczyni jest nadal z nami. Już teraz pomaga i ułatwia nam wybór zawodu. A my zaczynamy rozumieć, że robimy źle, że musimy się wydostać z tego „błota".

Uważam, że pani Henryce Wysokińskiej należy się odznaka „Szkarłatnej Róży". Przecież to Ona opiekuje się nami już 7 lat i mimo wszystko nie opuszcza nas. Na przeproszenie za wszystkie troski i kłopoty, jakie miała z nami, proszę, przyznajcie naszej Pani „Szkarłatną Różę". Myślę, że Pani zrozumie, że Ją kochamy i że chcemy odzyskać stracone u Niej zaufanie.

„Babetka", SPK

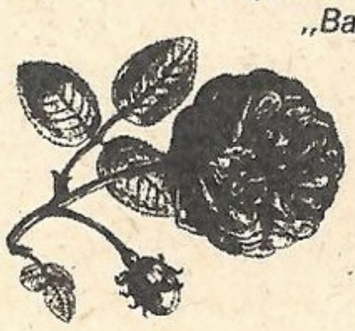

MINIREPORTAŻ Z LOTÓW HOLOWANYCH

1

Rozbieg grupy holujących

2

Moment startu. 12-letni pilot wykonuje pierwszy w życiu skok w przestrzeń

3

Wspaniały lot, widać jednak wyraźnie, że jest on kontrolowany przez biegnących z boku

4

Najbardziej emocjonujący moment – lądowanie

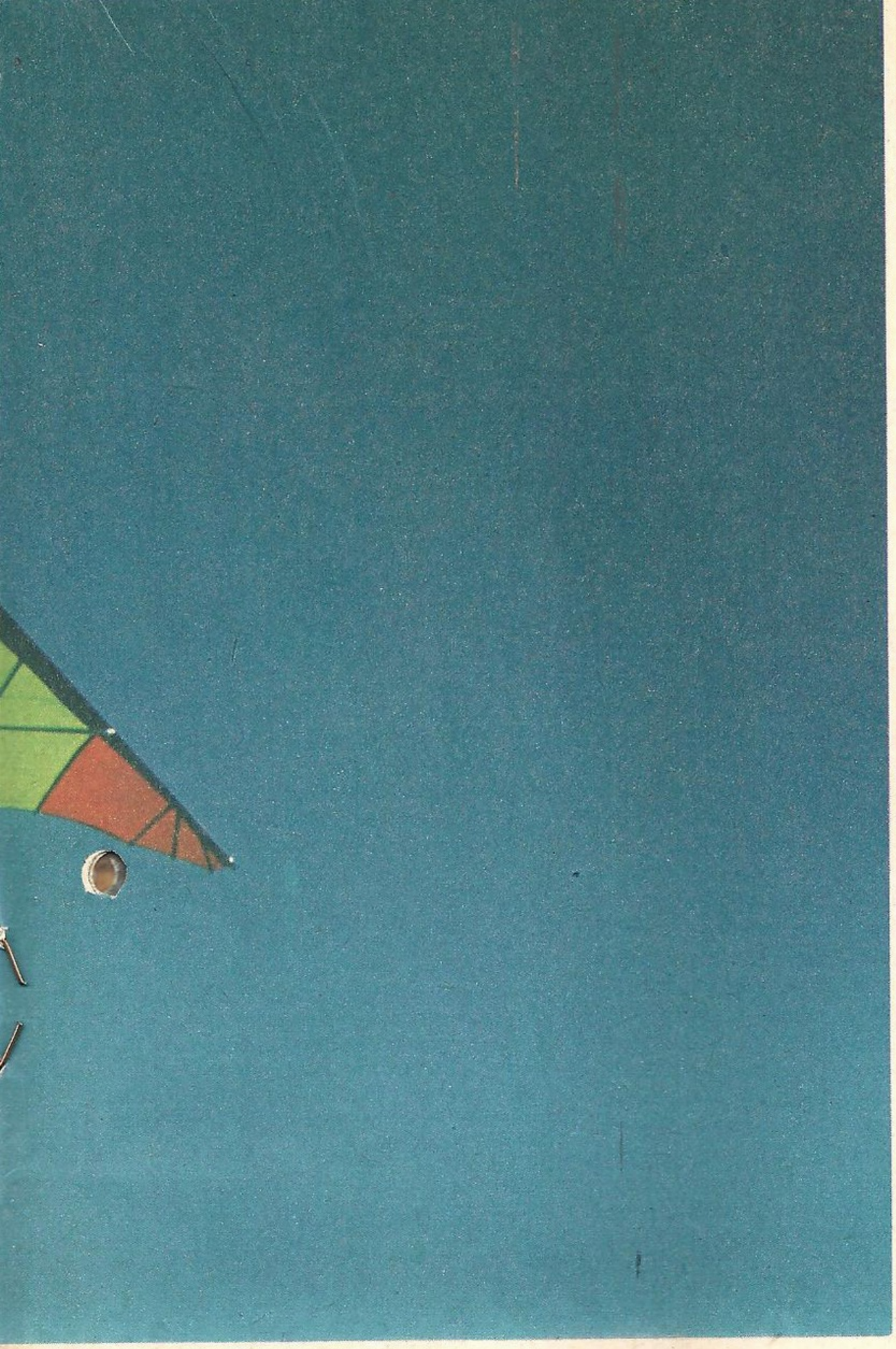

LOTNIA –

SZYBOWIEC DLA KAŻDEGO

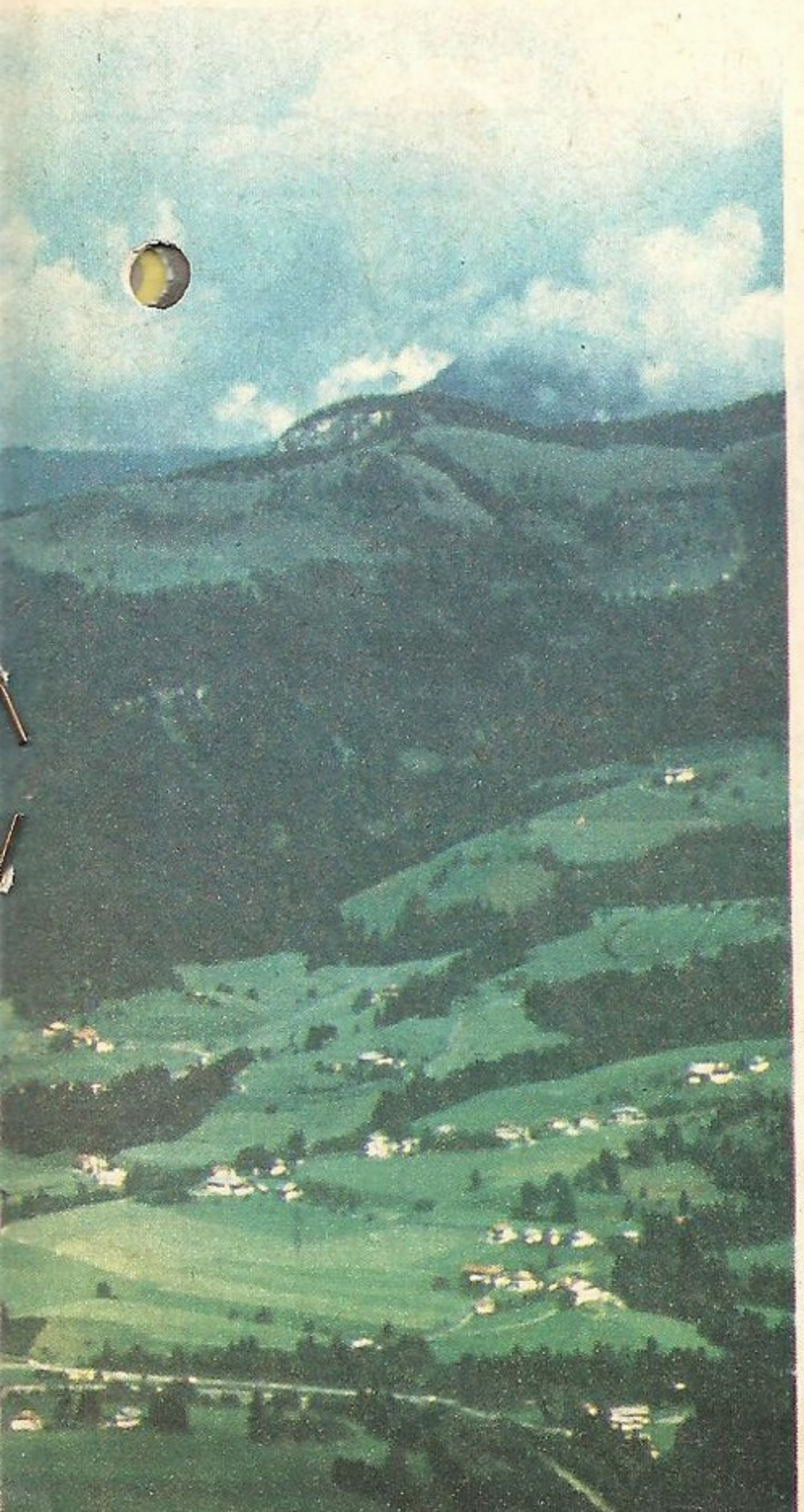

Skąd się wzięły lotnie?

Lot na samolocie sportowym czy też szybowcu jest imprezą niezwykle drogą. Jedna godzina lotu kosztuje dziesiątki tysięcy złotych, gdyż koszt szybowca wynosi minimum ćwierć miliona zł, a samolotu sportowego ponad milion, a do kosztów trzeba też wliczyć organizację służb naziemnych nowoczesnej łączności i służby meteo. Nie można bowiem latać swobodnie, jak to by się komuś mogło wydawać, gdzie się chce i dokąd się chce. Każdy samolot, śmigłowiec czy też szybowiec musi mieć wyznaczoną trasę lotu i jego czas. W przeciwnym razie wystąpiłyby liczne kolizje powietrzne. Lecąc z prędkością ponaddźwiękową myśliwce czy też niewiele już obecnie wolniejsze samoloty komunikacyjne nie mogą wyminąć małego samolotu sportowego, czy szybowca tak samo, jak transatlantyk nie ominie samotnej żaglówki na oceanie.

Najpiękniejszy ze sportów, jakim jest swobodne latanie człowieka w przestworzach, stał się więc w miarę rozwoju współczesnej techniki jakimś bardzo skomplikowanym i trudnym problemem technicznym. Ale oto znowu znaleźli się entuzjaści, którzy wyszukali takie miejsce w przestrzeni, gdzie można latać swobodnie, bez łączności radiowej, i co najważniejsze, latać wtedy, kiedy się chce i na sprzęcie, który można zrobić samemu. Chodzi tu oczywiście o lotnie.

Syn polskiego emigranta z Wielkopolski – Franciszek Rogallo – przez wiele lat w instytucie amerykańskim, zajmującym się badaniem aerodynamiki statków kosmicznych, poszukiwał wraz z innymi uczonymi sposobów ratowania pilotów rakiet oraz odzyskiwania spadających na ziemię, wypalonych członów rakiet czy też drogocennych ich głowic. W rezultacie tych badań i doświadczeń konstruktor wpadł m. in. na pomysł lotni. Był to płat o prostym kształcie złożony z czterech rur, na których napięta jest

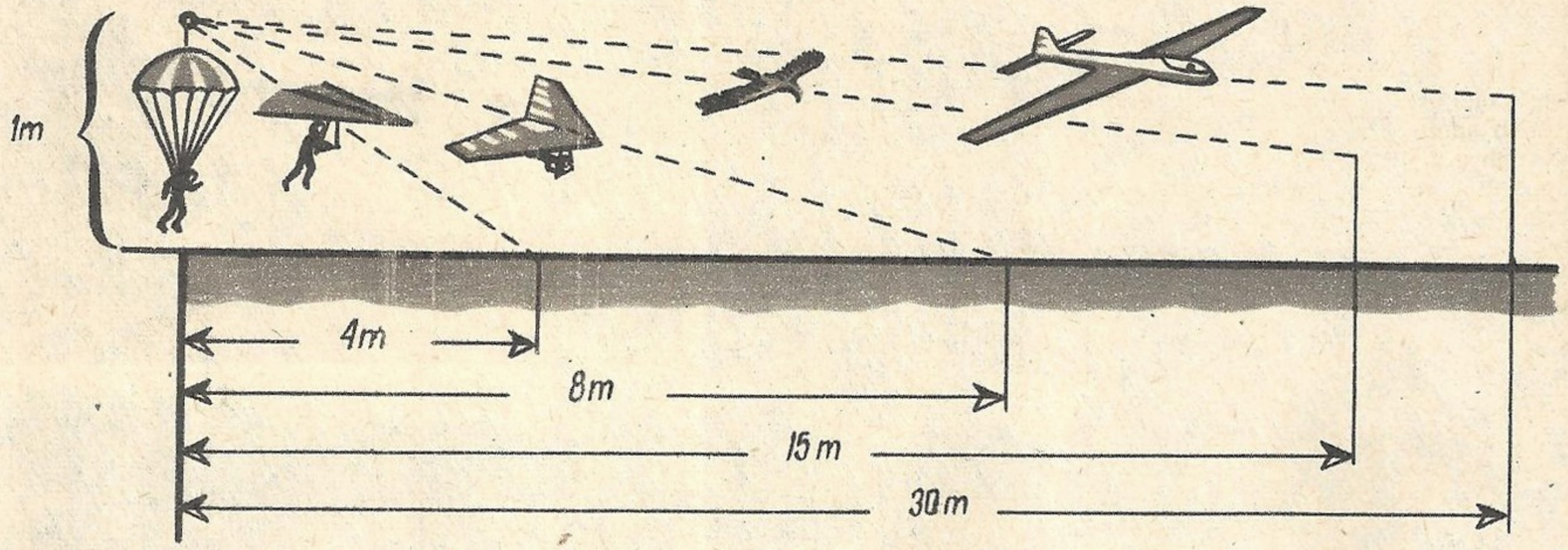

tkanina umożliwiająca bezpieczny lot ślizgowy człowieka. Lotnia w układzie Rogallo to – jak widać na fotografiach – urządzenie bardzo proste. Polscy amatorzy sportu lotniarskiego wykonali już około 300 takich lotni i już od kilku lat latają na nich. Jak dotąd nie zdarzył się żaden poważniejszy wypadek.

Oczywiście, latanie na lotniach nie jest podobne do latania na samolotach, które mogą nie tylko lecieć w dół, ale wzbijać się też mogą w górę. Lotnie są również mniej doskonałe niż szybowce, tzn. ich kąt opadania jest znacznie ostrzejszy. I tak nowoczesny polski szybowiec z wysokości 1 metra może przelecieć do przodu 35 m. Natomiast lotnia z tej samej wysokości przeleci zaledwie 5 metrów. Lotnia jest więc prymitywnym urządzeniem, daje jednak możliwość przeżycia wrażenia prawdziwego lotu w przestrzeni. Oczywiście, aby na lotni lecieć, trzeba najpierw wspiąć się na wzgórze niosąc swój „samolot" ze sobą. Masa lotni nie przekracza 20 kg., lotnia daje się w ciągu kilku minut złożyć w pakunek, który można wziąć na plecy i wynieść na najwyższy nawet szczyt. Pewien góral wystartował w zeszłym roku ze szczytu Giewontu lecąc na lotni własnej roboty.

Lotniarstwo to sport ludzi odważnych, ale prócz emocji sportowych uczy również szukania przeżyć estetycznych, bo nie ma piękniejszych wrażeń aniżeli cichy, powolny, odbywający się zaledwie z prędkością 40 km/h lot.

▲

Im większa doskonałość, tym dalej zaleci lotnia czy też szybowiec przy utracie jednakowej wysokości. I tak z 1 m wysokości normalna lotnia typu Rogallo zaleci na odległość 4–5 m, lotnia tzw. drugiej generacji (tu pilot leży dla zmniejszenia oporu, a skrzydło ma duże wydłużenie i jest bardziej podobne do ptaka) przeleci 8–10 metrów. Wiele ptaków, świetnych szybowników jak orły, bociany czy też albatrosy, potrafi przy utracie 1 metra przelecieć 15 m, a dobry szybowiec przeleci aż 30–40 m, natomiast szybowiec specjalny tzw. latające skrzydło, może przelecieć nawet 50 m. Należy sądzić, że za lat kilka wiele wyczynowych lotni zbliży się doskonałością do ptaków

Lotnie dla nastolatków

W myśl jednak przepisów, jakie niedługo będą u nas obowiązywać, na lotniach mogą latać tylko ci (zarówno mężczyźni, jak i kobiety), którzy ukończyli 18 lat życia i mają podstawowe przeszkolenie lotniarskie.

A co mają robić młodzi, którzy chcieliby spróbować swojej odwagi i zręczności. Oto znalazł się sposób pozwalający młodzieży od lat 10 liźnięcia pierwszych przeżyć samodzielnego wzlotu w powietrze. I to sposób bardzo bezpieczny. Jak do tego doszło? Oto grupa 14–15-latków z Domu Młodego Technika w Warszawie zbudowała w ubiegłym roku małą lotnię. Przez całą zimę cięli rury, klepali okucia, a później szyli powłokę nośną. W końcu lotnia była gotowa, tylko nie bardzo było wiadomo, co z nią zrobić. Najpierw chłopcy próbowali wykonywać skoki z niewielkich wzgórz w okolicach Warszawy, ale nie okazało się to bezpieczne. Lotnia nie zawsze leciała prosto do przodu, skręcała na boki, gwałtownie ryła nosem w ziemię. Lotniarz tłukł się, obijał jak przysłowiowe jabłko. Zaczęliśmy więc poszukiwać innych sposobów wznoszenia się w powietrze. Lotnię ciągnięto za samochodem, który jechał bardzo powoli, a chłopcy starali się przytrzymywać ją z boków i w ten sposób wpadliśmy na nowy pomysł, który następnie został wypróbowany i sprawdzony również przez inne grupy młodzieży.

Oto na zupełnie płaskim terenie grupa młodzieży ustawia lotnię pod wiatr i jeden z nich, pierwszy pilot, przypina się pasami do konstrukcji w taki sposób, jak to robią doświadczenii lotniarze skaczący z wysokich gór. Następnie do lotni przywiązuje się dwa sznury i dwie długie linki, przy każdej z nich staje czterech kolegów i na znak instruktora wszyscy ruszają ostro, „z kopyta" do przodu. Równocześnie jeden z kolegów lotniarza, przytrzymujący lotnię za ogon, wypycha ją gwałtownie do przodu przyciskając równocześnie koniec lotni, zwany kilem, do ziemi. Szarpnięty linami lotniarz wyskakuje w górę i rozpoczyna lot na wysokości 2, 3 czy 4 metrów. Ponieważ jednak nie umie on latać, mógłby przy najmniejszym błędzie pilotażu skręcić w prawo lub w lewo i mimo że jest ciągnięty na linach, gwałtownym łukiem spaść z powrotem na ziemię. Aby do tego nie dopuścić, do bocznych krawędzi lotni przywiązane są dwa

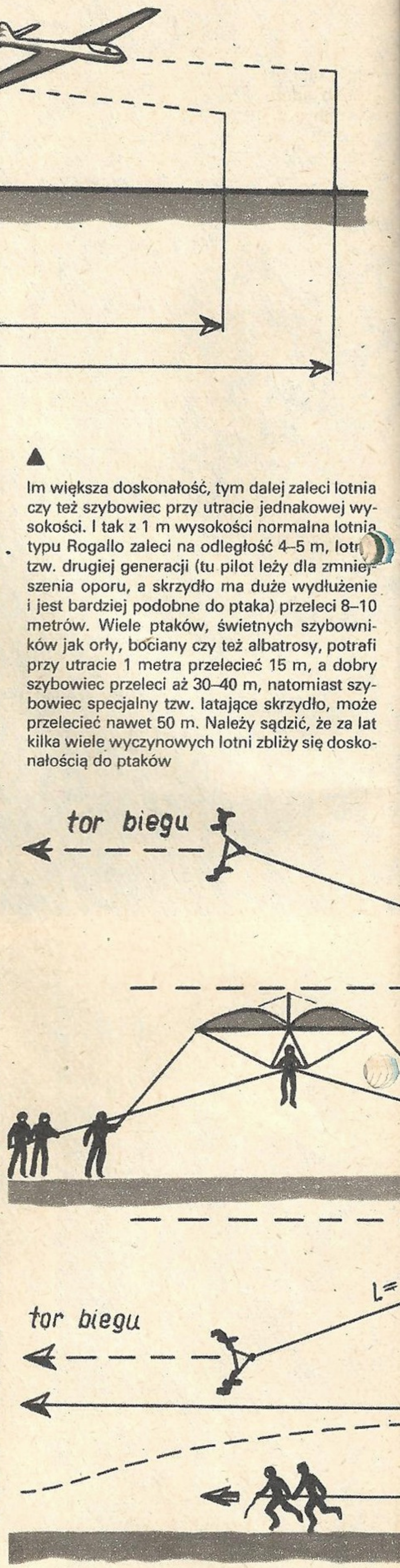

długie (5–8 m długości) sznurki, z których każdy na końcu trzymany jest przez asystentów pilota. Asystenci ci biegną razem z lotniarzem i w przypadku, gdy przechyla się on niebezpiecznie na bok czy zaczyna skręcać, pociągają za swój sznurek. W ten sposób adept sztuki latania uwiązany jest na czterech sznurkach (dwóch z boków i dwóch z przodu) i czy chce, czy nie chce – musi lecieć na określonej wysokości i w określonym kierunku. Lot ten nie trwa długo, zazwyczaj 20–30 metrów, dłuższy męczy holujących kolegów. Zaczynają ustawać i wówczas lotniarz ląduje na ziemi.

W 1976 roku na lotnisku Gocław wykonano wiele takich prób i na podstawie ich obserwacji przedstawiciele z Ministerstwa Oświaty i Wychowania postanowili, żeby eksperymentalnie w kilku szkołach wykonać prototypy takich lotni i na wiosnę tego roku przeprowadzić szereg ćwiczeń w terenie. Myślę, że wielu chłopcom i dziewczynom będzie się podobać ta nowa szkoła latania i może znajdą się dalsi naśladowcy, którzy będą w swych szkołach wykonywać lotnie i próbować na nich swoich sił i zręczności.

Konstrukcja lotni oraz ćwiczenia, jakie na niej można wykonać, opisane zostały w tegorocznym 3 nrze miesięcznika „Młody Technik". Warto, aby ci, których bliżej zainteresuje ten temat, zapoznali się z tym numerem. Czas szybko mija. Zbudowanie lotni, przeprowadzenie na niej zbiorowych prób przez klasy czy też szkoły na pewno potrwa dwa, trzy lata i ani się obejrzycie, jak już samodzielnie będziecie mogli wykonywać loty na prawdziwych lotniach, startując z karpackich zboczy.

Technika budowy lotni będzie się niewątpliwie doskonalić i za kilka lat można się spodziewać, że i u nas – tak, jak to się dzieje w Austrii czy też w Stanach Zjednoczonych – powstaną lotnie tak doskonałe, że będzie można na nich szybować wzdłuż zboczy nie przez minuty, ale przez godziny, tak jak to robią ptaki.

Trzeba pamiętać, że budowa lotni w szkolnej pracowni – to niemała sztuka techniczna. Najważniejsze materiały – rury duralowe – będzie można kupić w Centrali Harcerskiej. Ale poza tym wykonać trzeba kilka okuć, zmontować linki, uszyć pokrycie. Są to prace możliwe do wykonania, ale tylko przez wytrwałych i bardziej doświadczonych majsterkowiczów. Budowa lotni zalecana jest przez Ministerstwo jako nauka zajęć technicznych na najwyższym poziomie. Kto więc chce być lotniarzem – musi przeegzaminować siebie nie tylko ze zręczności i odwagi, ale również z umiejętności technicznych.

Mgr inż. Andrzej Moldenhawer

Fot. autor oraz Jerzy Metelski

Tak odbywają się loty holowane na lotniach: pilot podwieszony pod lotnią startuje biegiem (etap I), ciągnięty przez 4 kolegów i asekurowany z boku przez 2 trzymających linki. Po wykonaniu lotu (faza II) ląduje nie zwalniając się z holu (faza III)

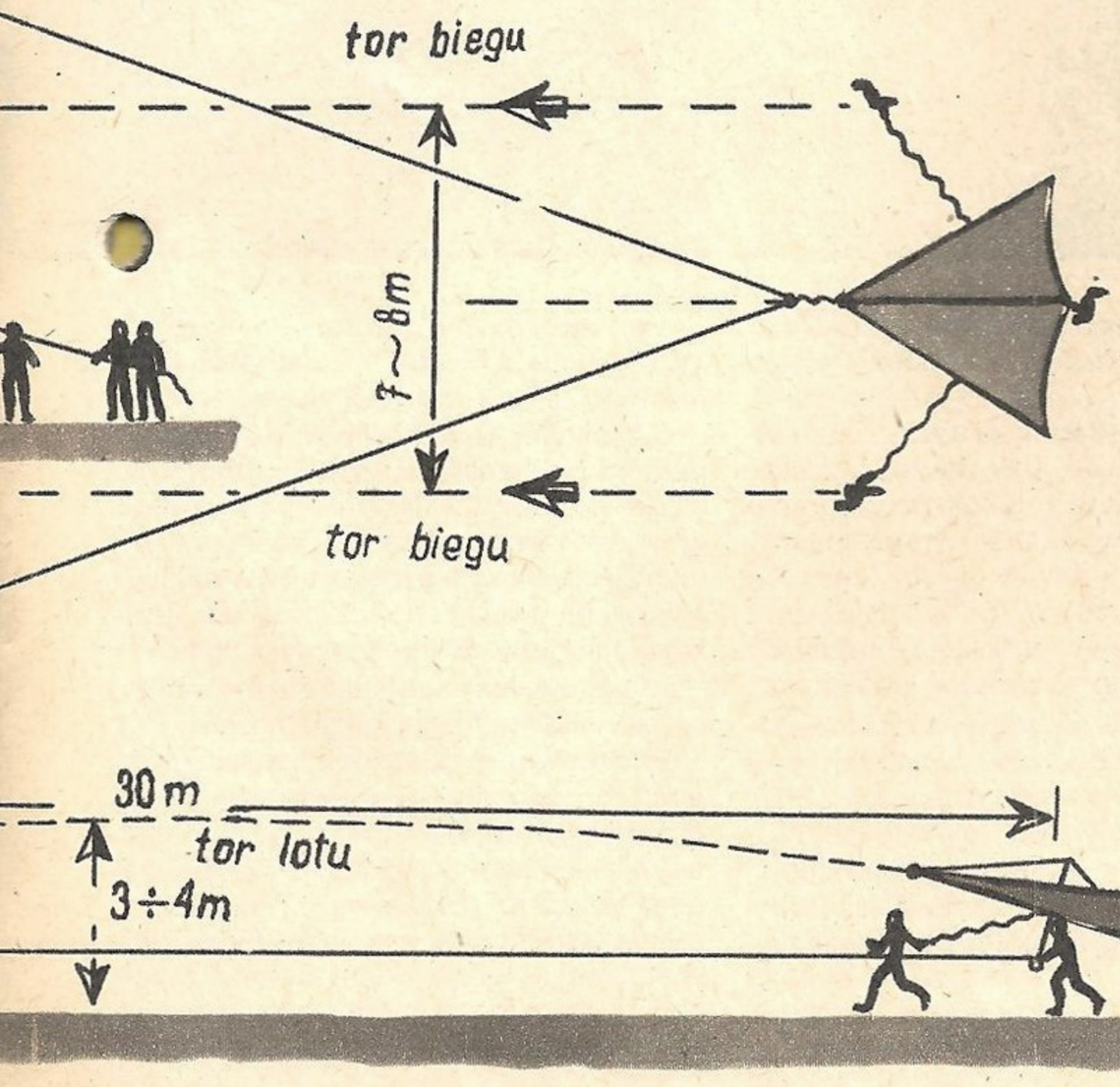

LECIEĆ JAK PTAK

O tym, że latanie jest sprzeczne z naturą człowieka, wiedzieli już starożytni, ale i w czasach nowszych mamy wiele takich przykładów, iż każdy, kto chciał latać, na ziemię spadał, nogi łamał albo i nieraz śmiercią zachwalstwo swoje przypłacał. I chociaż ludzie nauczyli się budować wozy i rydwany, a następnie okręty, takie, które świat cały opłynąć mogły, latanie jakoś nie wychodziło.

Człowiek w wodzie może pływać, ponieważ gęstość jego ciała podobna jest do gęstości wody. Wystarczy nabrać dużo powietrza w płuca, ażeby po ułożeniu się równo na powierzchni wody nie zatonąć, nos tylko na wierzch wystawiając. Powietrze jednak jest od wody 800 razy rzadsze. Ludzie obserwowali lot ptaków i nietoperzy i zdarzali się szaleńcy, którzy próbowali lotu na własnych skrzydłach. I tak za cesarza Nerona Grek pewien na skrzydłach zbudowanych przez siebie ze wzgórz zlatywał, ale gdy przywieziony do Rzymu w cyrku przed obliczem cesarza sztukę tę chciał powtórzyć, runął z wysokości zabijając się na arenie u stóp władcy. Domyślamy się, że był to jeden z pierwszych lotniarzy, który wykorzystywał silny prąd wznoszący, jaki tworzy wiatr wiejący w górach wzdłuż stromych zboczy. I to zjawisko pozwalało mu na pewne skromne zresztą zapewne loty, a raczej podskoki. Ale w rzymskim cyrku, będącym jak gdyby olbrzymią miednicą, wiatr wiejący od zewnątrz powodował w środku cyrku zawirowania o kierunkach duszących, a więc przyspieszających jeszcze naturalną prędkość zapewne bardzo niedoskonałej lotni. Stąd Szymon, bo tak się ów lotniarz nazywał, poniósł śmierć podczas swej cyrkowej próby.

Wszyscy znają historię pierwszych ludzkich wzlotów dokonanych przy pomocy balonów wolnych; zjawisko to polega na pływaniu w oceanie powietrznym ciał lżejszych, a więc wypełnianych na początku ciepłym powietrzem, później zaś helem czy też wodorem. Ale latanie na balonach, chociaż bardzo atrakcyjne, nie mogło spowodować poważniejszego rozwoju lotnictwa. Komunikacja na balonach, a później na sterowcach, jest bowiem zawsze zależna od kaprysów pogody, przede wszystkim wiatru, ponadto zaś do uniesienia jednego tylko człowieka konieczna jest objętość ok. 80 m^3. Wyobraźmy więc sobie, jakby wyglądał powolny balon, który musiałby unieść, tak jak to robią nowoczesne samoloty, 100 ton różnych towarów czy też pasażerów. Poza tym balon będący igraszką wiatrów, łatwo może wylądować na drutach wysokiego napięcia, czy też wejść w kolizję z trasami samolotów.

Odwieczne marzenia o lataniu zrealizowali dopiero bracia Wright, którzy w 1903 roku zbudowali pierwszy samolot silnikowy. Od tego czasu nastąpił dynamiczny rozwój komunikacji lotniczej, która doprowadziła nawet do upadku wiele pasażerskich linii oceanicznych.

PAN SAMOCHODZIK

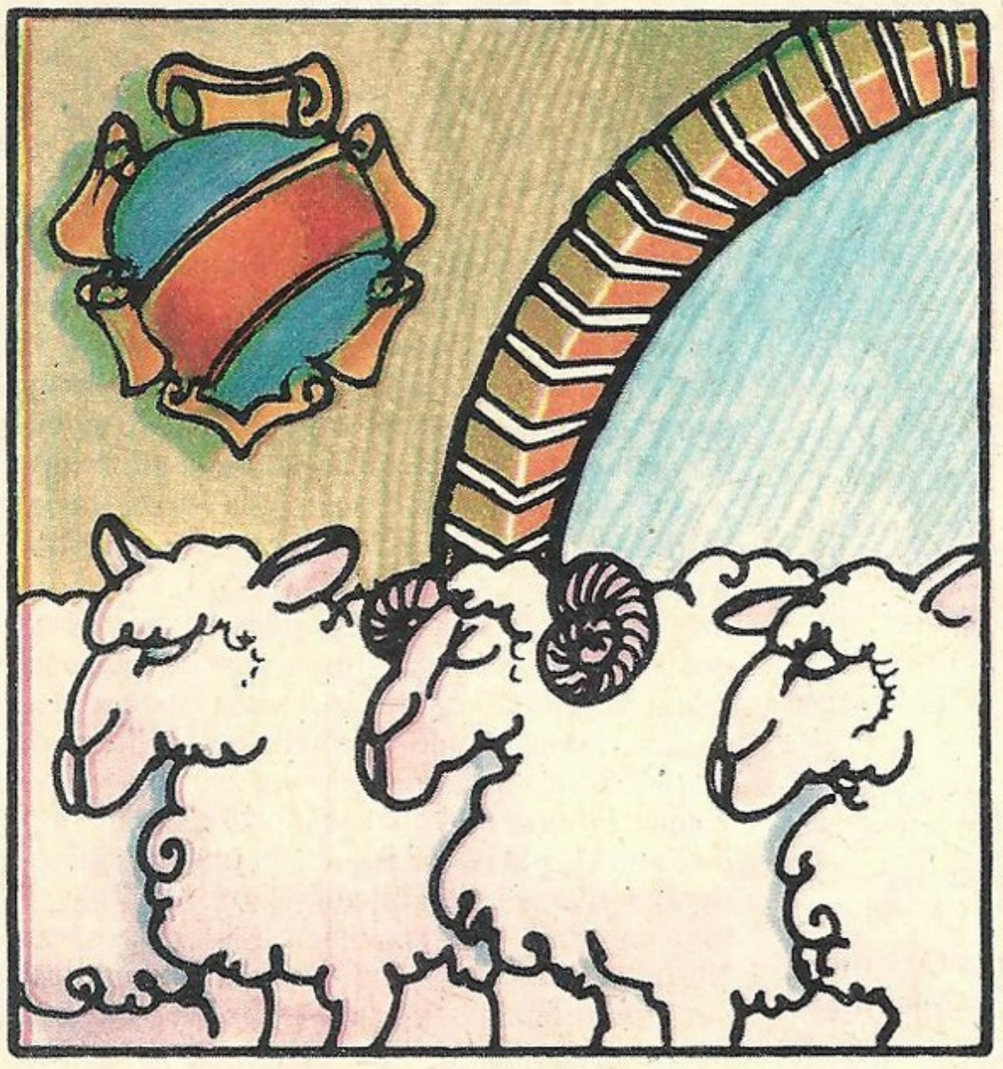

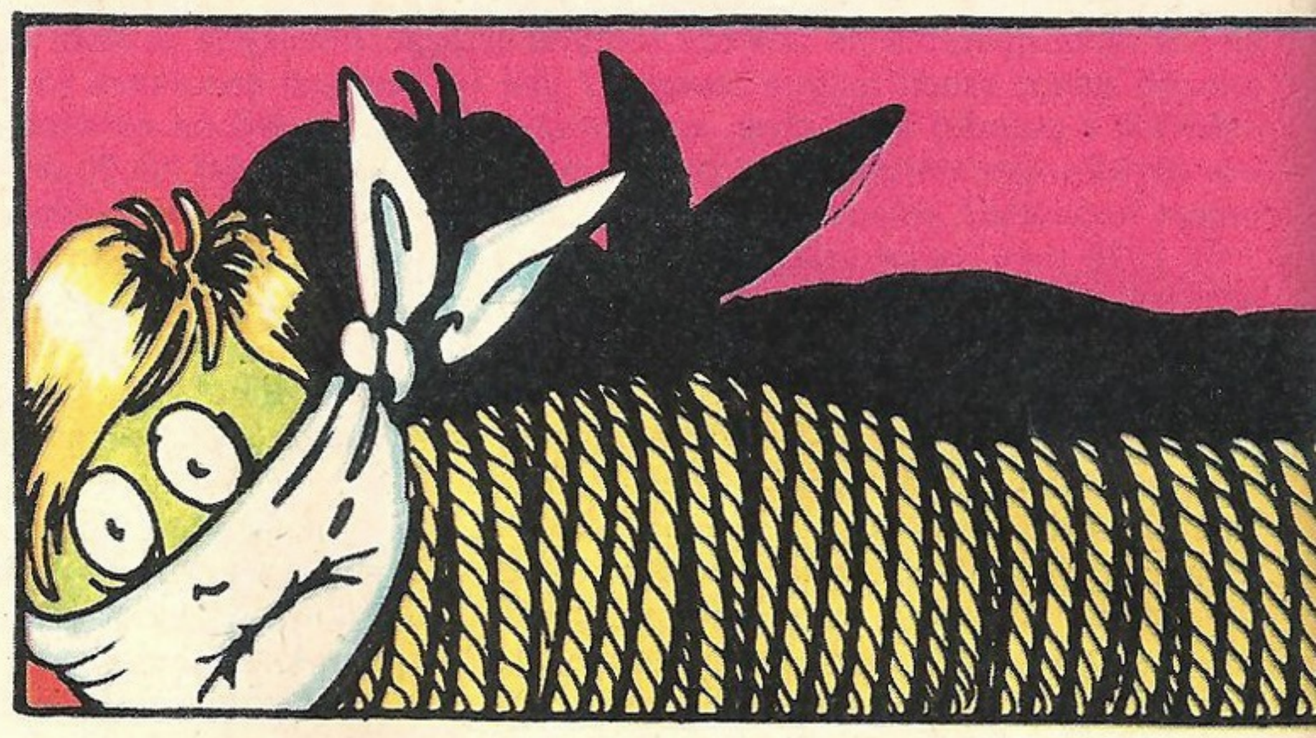

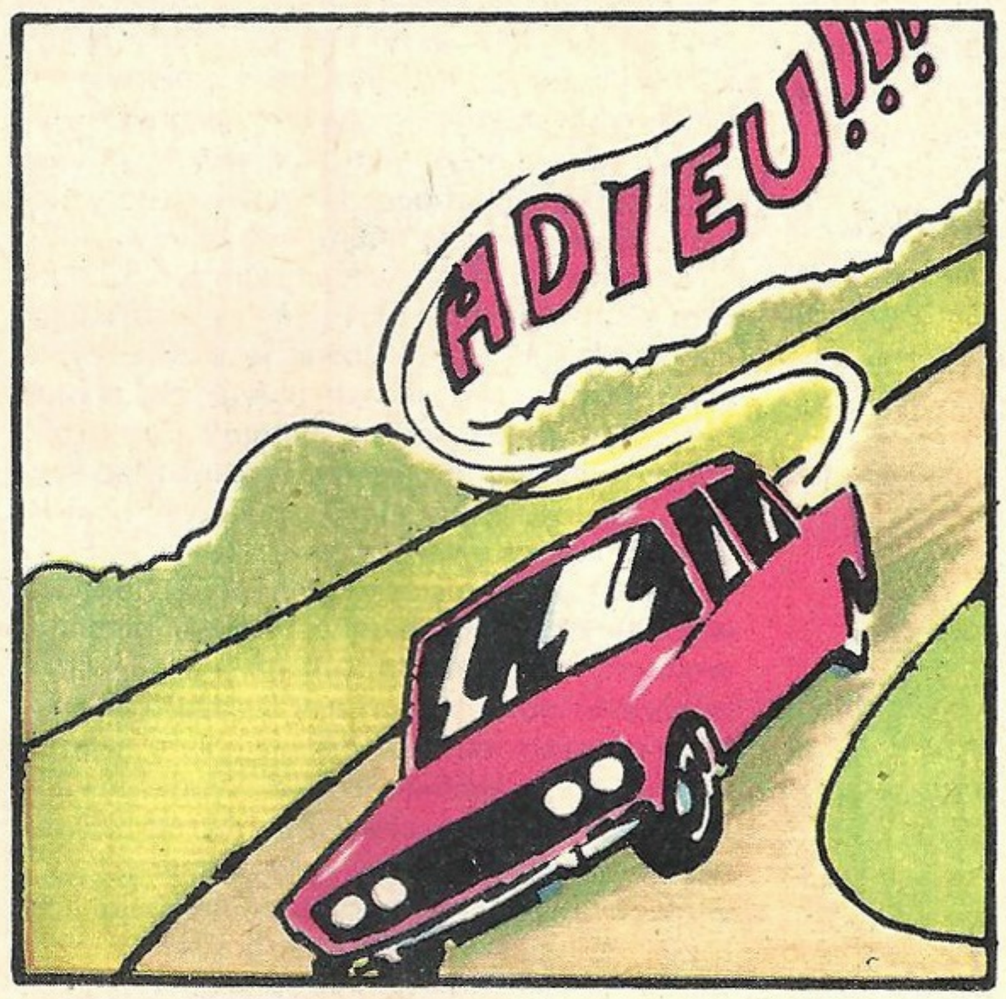

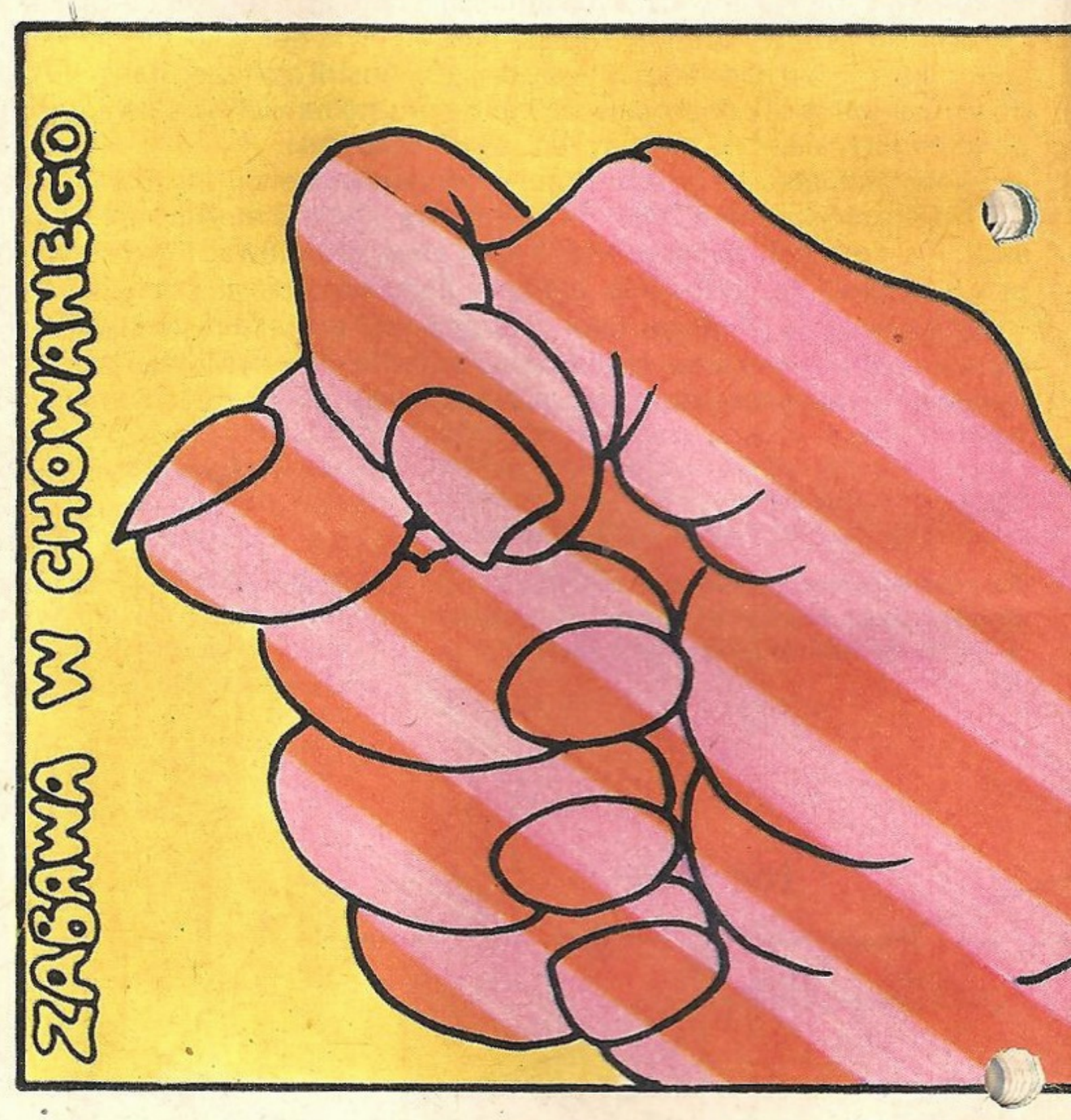

Zjedliśmy obiad w Suszu, w restauracji, która nazywała się „Warmianka", choć Susz nie leży na terenie Warmii i Mazur, ale na Powiślu. Równie dobrze mogłaby się więc nazywać „Łowiczanka" czy „Krakowianka". Ten, kto ustalał nazwę dla restauracji, raczej nie orientował się w geografii. Ale obiad był smaczny i już o czwartej po południu wyruszyliśmy do Gardzienia.

Na wschód od Susza aż do Jerzwałdu, a także na południe aż do Iławy i na północny wschód – do Starego Dzierzgonia ciągnie się ogromny kompleks leśny, pełen mniejszych i większych jezior, z których jedno (piąte co do wielkości w Polsce) ma nazwę Jeziorak i dwadzieścia dziewięć kilometrów długości. Od Iławy do Jerzwałdu wzdłuż brzegów tego jeziora biegnie nowa asfaltowa szosa. Ma ona dziesiątki zakrętów i przez cały niemal czas przecina las, to po lewej, to znów po prawej stronie ukazując lustra mniejszych jezior.

Na jednym z takich ostrych zakrętów leży wieś Gardzień, gdzie zbudowano niedawno osadę leśną. Białe, nowe domy sąsiadują z czerwonymi czworakami starych zabudowań folwarcznych. A na niewysokim wzgórku, tuż przy szosie, między potężnymi drzewami stoją ruiny dworu zbudowanego w kształcie podkowy.* Ze stromego dwuspadowego dachu zleciały dachówki, Deszcze i wichury dokonują dzieła całkowitego zniszczenia. Tu i ówdzie załamały się stropy, ale dębowe schody jeszcze prowadzą na górne piętra, a przez pusty oczodół drzwi wejść można do zawalonej gruzem półokrągłej sali balowej lub może ogromnego salonu. Wszędzie leżą cegły, rozbite dachówki i stare kafle z pieców i kominków.

Gdy przyjechaliśmy tam wczesnym popołudniem, padał deszcz i Gardzień wydawał się bezludny. Na drewniane podłogi w dworskich pokojach z głośnym szumem leciała woda przez dziury w dachu, a w sali balowej koczowało stadko owiec, które schroniły się tu przed deszczem.

Zaparkowałem wehikuł na leśnej ścieżce, aby nikomu nie rzucał się w oczy.

W drodze do Gardzienia opowiedziałem Monice o pięknej dziewczynie, której przed stu pięćdziesięciu laty wielki poeta nazwiskiem Goethe czytał w Weimarze ostatnie sceny genialnego „Fausta". Ta młoda dziewczyna imieniem Jenny poznała Anglika nazwiskiem Byron i zakochała się w nim bez pamięci, ale on wkrótce zginął w dalekiej Grecji. Chciała pozos-

*) Ruiny rozebrano w 1976 r., już po napisaniu tej książki.

i NIEWIDZIALNI

ZBIGNIEW NIENACKI
ilustr. EDWARD LUTCZYN

6.

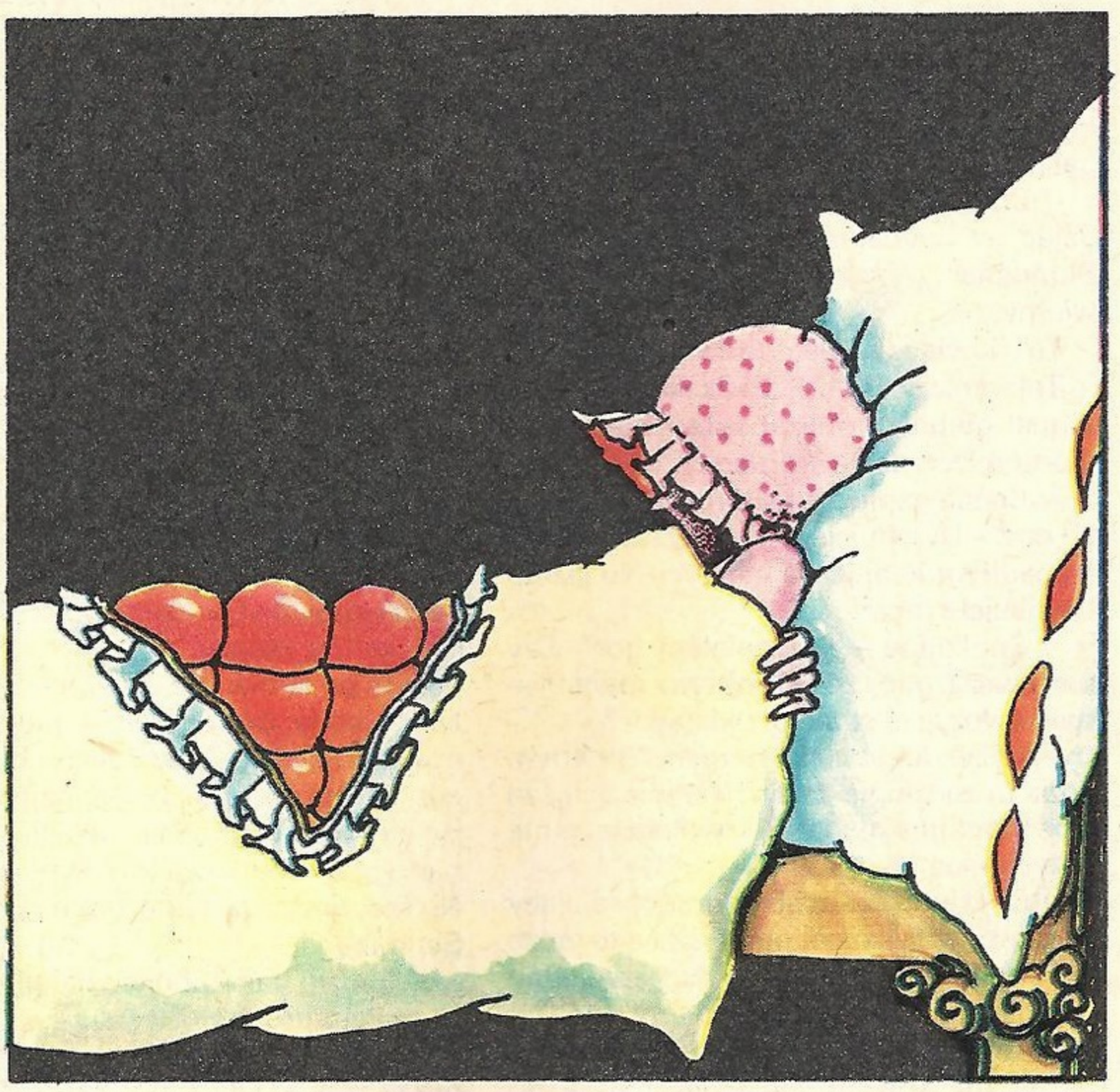

tać wierną tej miłości, lecz ulegając matce swej, dwórce Dianie von Papenheim, zgodziła się wyjść za mąż za Vernera von Gustedta, który kupił majątek Gardzień w dalekich Prusach, w niedostępnych lasach. I oto piękna młoda kobieta, która przez kilka lat królowała w salonach Weimaru wśród najwybitniejszych i najbardziej utalenowanych ludzi swej epoki, opuściła miasto rodzinne i skazała się na samotność. Może miała już dosyć dworskiego życia? A może wydawało się jej, że jako właścicielka ziemska potrafi więcej zrobić dla prostego ludu niż jako dwórka w Weimarze? Zetknęła się z nędzą ludzką i to wśród ludzi, którzy pracowali w jej majątku. A był to lud na poły polski, na poły niemiecki, żyjący w nędzy. Najbliższe przytułki dla chorych i biednych leżały o całe mile od Gardzienia, szkoła była zła, nikt się nie troszczył o duchowe życie dzieci. To ona podjęła trud walki z nędzą wśród pracowników swojego majątku, dostarczała zdrowej i posilnej żywności, dbała o ludzi starych i chorych. Wielkie panie z sąsiednich dworów wyśmiewały działalność opiekuńczą Jenny, ale to jej nie zrażało. I powoli dochodziło do jej świadomości, że za nędzę i ciemnotę prostego ludu odpowiedzialni są przede wszystkim wielcy właściciele ziemscy, którzy stanowili tu władzę i prawo.

– Prawdziwa ,,czerwona arystokratka'' – stwierdziła z przekąsem Monika.

– Tak. Bo proszę uwzględnić, że te poglądy wygłaszała dwórka książęca i właścicielka dóbr ziemskich. Czemu jednak wyraża się pani o Jenny aż z taką ironią?

– Bo mówi pan o niej z takim zachwytem, jakby był pan w niej zakochany.

Roześmiałem się.

– Miała już wtedy pięcioro dzieci i po dwunastoletnim pobycie w Gardzieniu przeniosła się do Susza. Potem wyjechała z mężem do Berlina, a gdy mąż zmarł, zamieszkała u syna w dalekiej Kurlandii i tam została pochowana. Dopiero jej wnuczka, Lili Braun, podjęła częściowo myśl swej babki i stała się działaczką ruchu kobiecego. Gardzień zaś kupili Dobeneckowie. W wiele lat później córka lekarza z Susza, Anna, wyszła za mąż za Johanna von Dobenecka i zamieszkała także w Gardzieniu. przyjeżdżał tu zapewne jej ojciec, przeczytał książkę Lili Braun, dowiedział się o Jenny von Gustedt i zaczął zbierać pamiątki po tej wspaniałej kobiecie, był bowiem zapalonym kolekcjonerem. Potem, jak pani już wie, Moniko, musiał swoje zbiory ukryć.

Kap, kap, kap – kapała woda do półokrągłego salonu. Za dziurami okien szumiał deszcz i bezlistne drzewa. Owce

uciekły na dwór głośno pobekując, a my z Moniką przechodziliśmy wolno z pokoju do pokoju, uważając, aby nam na głowę nie spadła jakaś cegła lub dachówka.

– Tu są schody. Może wejdziemy na górę? – zaproponowała Monika.

Nagle coś stuknęło nad naszymi głowami. A potem usłyszeliśmy jak gdyby jęk.

– Co to? – przeraziła się dziewczyna.

– To wiatr. Alko jakiś ptak... – zgadywałem.

Ostrożnie wspięliśmy się na górę po drewnianych, próchniejących schodach.

Znaleźliśmy się w wymalowanym na żółto, dużym pomieszczeniu, nad którym nie było dachu i deszcze padał bezpośrednio na podłogę i wylający się gruz.

– Boże drogi! – krzyknęła Monika.

Na podłodze, w kałuży wody leżał związany tajemniczy Blondyn. Miał zakneblowane chustką usta, a obok niego walał się czarny kapelusz.

Monika skoczyła do leżącego i usiłowała rozwiązać sznur na jego rękach i nogach. Ale ją powstrzymałem.

– Chwileczkę – powiedziałem, spoglądając w wybałuszone błagalnie oczy Blondyna. – Najpierw z nim porozmawiamy.

To mówiąc wyjąłem mu knebel z ust.

Tajemniczy Blondyn kilkakrotnie odetchnął głęboko, oblizał spieczone wargi, a potem zaczął się szarpać.

– Co się gapicie jak durnie! – Wrzasnął na nas. – Uwolnijcie mnie z tych sznurów. Napadli mnie tu jacyś bandyci. No jazda! Uwolnijcie mnie!

– Spokojnie – upomniałem go. – Czy nie uważa pan, że w dobrym towarzystwie należy się sobie przedstawić?

– Idźcie do diabła! – wrzasnął Blondyn. – Co to za głupie żarty? Nie widzicie, że ktoś na mnie napadł? Uwolnijcie mnie natychmiast?

– Chwileczkę – zrobiłem uspokajający gest ręką. – Tylko bez nerwów, bo to może tylko zaszkodzić pańskiemu zdrowiu. Pan nas nie zna, ale my pana znamy z widzenia. Czy może nam pan powiedzieć swoje nazwisko? W jakim celu przyjechał pan do Gardzienia?

Tajemniczy Blondyn przestał się rzucać w więzach.

– Jesteście z tej samej bandy – stwierdził. – No dobrze, powiem wam wszystko, ale uwolnijcie mnie, bo jestem cały mokry od deszczu. Czuję, że dostanę zapalenia płuc.

W tym momencie przez wybite okna usłyszeliśmy pisk hamulców i odgłos silników przynajmniej dwóch samochodów, które zajechały przed zrujnowany dwór.

Rozejrzałem się na wszystkie strony, a potem ku zdumieniu Moniki chwyciłem knebel i mimo protestów Blondyna wcisnąłem mu go z powrotem do ust. Następnie wziąłem Monikę za rękę i ostrożnie przeszedłem z nią do drugiego pokoju. Schowaliśmy się tam za załomem muru.

– Ani słowa. Proszę nawet nie oddychać – nakazałem szeptem Monice.

Wkrótce usłyszeliśmy szmer na dole, potem skrzyp starych schodów. Chyba trzech mężczyzn wspinało się na górę, rozmawiając ze sobą półgłosem.

Mężczyźni weszli do pokoju, gdzie leżał związany tajemniczy Blondyn.

– No i co, panie kolego – poznałem głos Waldemara Batury. – Nie jesteś z cukru, więc się nie roztopiłeś. Ale deszcz, knebel i więzy napędziły ci chyba rozumu do głowy i skłoniły do mówienia. Mokłeś i ziębłeś, a my tymczasem zjedliśmy smaczny obiadek w ławie. Gdybyś inaczej z nami zaczął gadać, zjadłbyś go także w naszym towarzystwie. Ale ty, Piękny Lolo, nic nie rozumiesz ze współczesności. Skończyły się już czasy, gdy każdy handlarz antyków w Polsce mógł pracować na własny rachunek. Gdy siedziałem w więzieniu, miałem czas to i owo przemyśleć. Doszedłem do wniosku, że jeśli się będzie działać w pojedynkę, zawsze się w końcu wpadnie w ręce milicji albo Samochodzika. Postanowiłem stworzyć syndykat handlarzy antyków i sam mianowałem się królem w naszej branży. Ty, Piękny Lolo, pozostałeś głuchy na moje propozycje i wolałeś pracować na własną rękę. Dlatego zwracaliśmy na ciebie szczególną uwagę. Od razu nam się rzuciło w oczy, że skontaktowałeś się ze Schreiberem i dostałeś od niego jakieś polecenia. Rudy Janek śledził cię od Warszawy aż do Mikołajek, potem był świadkiem, jak wynająłeś motorówkę i popłynąłeś na Śniardwy. Jechaliśmy za tobą aż do Mrąga i tutaj, do Gardzienia. Teraz wiesz, że nie wolno działać samotnie, bo można dostać po karku. Ale za twoim pośrednictwem także ów Schreiber powinien się dowiedzieć, że jeśli w Polsce chce się coś zdziałać na naszym polu, to najpierw należy się w tej sprawie zwrócić do króla handlarzy antyków, Waldemara Batury. No i co, będziesz gadał, po co cię wysłał tu Schreiber?

– Będzie gadał, bo kiwnął głową – posłyszałem drugi głos.

Wyjęli Blondynowi knebel z ust. Donośnie zabrzmiał jego chrapliwy głos:

– Wszystko powiem, panie Batura. Ale w drugim pokoju ukrywa się jeszcze jakiś facet z dziewczyną...

Nie miało już sensu kryć się za murem. Wróciliśmy z Moniką do pokoju, gdzie na podłodze leżał tajemniczy Blondyn, a obok niego stali Waldemar Batura, Rudy Janek i jakiś trzeci młody człowiek.

– Witajcie – powiedziałem z udaną beztroską. A Monika dygnęła jak pensjonarka.

– Cześć, Tomaszu – powitał mnie Batura. I wyjaśnił swoim „kolegom" i tajemniczemu Blondynowi: – To jest Samochodzik, który pracuje w Centralnym Zarządzie Muzeów i Ochrony zabytków i ma na oku wszystkich handlarzy antyków.

Rudy Janek, który był rzeczywiście rudy jak wiewiórka i rosły jak olbrzym, oraz trzeci młody człowiek chcieli się rzucić na mnie, ale Batura powstrzymał ich.

– Bez awantur, przyjaciele – oświadczył z uśmiechem. – Nie lubię aktów brutalności i terroru. Ludzie kulturalni i inteligentni zawsze mogą się z sobą porozumieć.

Wyjął nóż i przeciął sznur oplątujący Blondyna. A potem, gdy Piękny Lolo gramolił się z podłogi i rozprostowywał ścierpnięte mięśnie rąk i nóg, zwrócił się do mnie:

– Byłeś, Tomaszu, świadkiem koleżeńskiego nieporozumienia, które zresztą, jak widzisz, zakończyło się pomyślnie. Nikt nie ma do nikogo o nic pretensji. Nic się nie stało, prawda, Lolo?

– Tak jest, nic się nie stało – oświadczył szybko Piękny Lolo. – To były tylko koleżeńskie żarty. Oni mnie związali dla zabawy.

– Tak jest – przytaknął Batura. – Bawiliśmy się w chowanego. A teraz, chłopaki, proszę zejść na dół i zająć miejsca w samochodach. Twój samochód, Lolo, stoi w lesie, prawda? Otóż twój wóz odprowadzi do Warszawy Rudy Janek, Zenek pojedzie swoim wozem, a ty, Lolo, będziesz mi towarzyszył. Chcę z tobą pogadać o tym i owym, bo nie lubię podróżować samotnie.

Kpili sobie z nas w żywe oczy. Ale co mogłem zrobić? Jak powinienem był postąpić? Widziałem związanego człowieka z kneblem w ustach, ale ten człowiek twierdził, że to tylko zabawa.

– A pani, Moniko, jak zwykle piękna i interesująca – oświadczył Batura mojej współpracowniczce. – Tomasz ma szczęście. Ale jeszcze raz przypominam, że w moim towarzystwie zaznałaby pani więcej przygód. Do zobaczenia, przyjaciele.

I skłoniwszy się nam uprzejmie Waldemar Batura w towarzystwie swej bandy i Pięknego Lola zszedł po schodach, a ja nie uczyniłem żadnego gestu, aby ich zatrzymać. Co dałby bowiem taki gest? Nieważne, że ich było czterech, a ja jeden, i do tego z Moniką. Skoro bowiem Piękny Lolo nie wnosił żadnych pretensji, to jest przestępstwem odwiedzanie zrujnowanych dworów. Waldemar Batura okazał się tym razem panem sytuacji.

Usłyszeliśmy trzask zamykanych drzwiczek i warkot zapuszczanych silników.

Wkrótce po samochodach bandy Batury pozostał tylko niewyraźny ślad na błotnistej drodze.

Kap, kap, kap – padał deszcze z dziurawego dachu do półokrągłego salonu w dawnym domu Jenny von Gustedt.

– Gdyby Waldemar Batura nie nadjechał ze swoją bandą – westchnęła Monika – dowiedzielibyśmy się od Pięknego Lola, jakie zadanie dał mu Schreiber. Był skłonny mówić, bo wziął nas za członków bandy Batury.

– Niech się pani nie martwi – pocieszałem ją. – I tak wiemy już bardzo wiele. Myślę, że do Warszawy nie wrócimy jednak z pustymi rękami. Dyrektor Marczak zapewne z dużym zainteresowaniem wysłucha naszej opowieści.

– I pozostawi mnie w pana referacie? – zapytała uszczęśliwiona.

– Sądzę, że mimo wszystko zasługuje pani na to.

Odszukaliśmy wehikuł na leśnej dróżce i przed północą byliśmy już w Warszawie.

Dyrektor Marczak ze zmarszczonymi surowo brwiami wysłuchał mojego sprawozdania z podróży do Fortu Lyck i Gardzienia. Wyraźnie zaniepokoił go fakt, że najprawdopodobniej istniał ścisły związek między przyjazdem zachodnioberlińskiego antykwariusza, Fortem Lyck i zbiorami doktora Gottlieba. Decyzję podjął szybko, był to bowiem człowiek niezwykle przedsiębiorczy.

– Jutro wyjeżdżamy do Frankfurtu nad Menem, aby osobiście porozumieć się z Anną Von Dobeneck – oświadczył.

Z kasy pancernej, która stała w jego gabinecie, wyjął nasze paszporty, które – jak się okazało – były już ostemplowane wizą Republiki Federalnej Niemiec. Następnie zlecił sekretarce zamówienie biletów na pociąg.

– Panna Monika będzie czuwać nad bieżącymi sprawami pańskiego referatu – rozkazał, co znaczyło, że docenił jej wkład w tę sprawę i przestał się nosić z zamiarem przesunięcia jej do innego działu.

Powiadomiłem o tym Monikę, co sprawiło jej ogromną radość.

I tak oto już następnego dnia wieczorem wysiedliśmy z dyrektorem na dworcu kolejowym we Frankfurcie nad Menem i taksówkarzowi kazaliśmy się zawieźć do jakiegoś skromnego hotelu. Zamieszkaliśmy w skromnym, choć wygodnym hotelu „Arabella". Byliśmy zmęczeni podróżą i zaraz położyliśmy się spać. Rankiem dyrektor Marczak wyszukał w książce telegonicznej numer telefonu Anny von Dobeneck i zadzwonił.

Telefon odebrał wnuk pani Anny, Alfred von Dobeneck. Tak się w każdym razie przedstawił Marczakowi, który na wstępie rozmowy wyłuszczył, kim jest, skąd przyjechał i w jakiej sprawie chciałby rozmawiać z panią von Dobeneck.

„Babcia jeszcze śpi" – poinformował Marczaka Alfred von Dobeneck i obiecał, że gdy tylko się obudzi, zadzwoni do nas natychmiast. Zapisał sobie nazwę hotelu i numer telefonu pokoju, w którym zamieszkaliśmy.

W godzinę później dotrzymał obietnicy.

– Moja babka, pani Anna von Dobeneck, oczekuje was o godzinie osiemnastej w swej willi przy ulicy Zygfryda 7 – powiadomił Marczaka.

Prawie cały dzień dzielił nas od tej wizyty. Zjedliśmy więc śniadanie i wyruszyliśmy na zwiedzanie miasta i jego zabytków. Zaczęliśmy od centrum, to jest od dzielnicy Romerberg. Nazwa „Romerberg" pochodzi od „Domu Rzymianina", który w 1405 roku uczyniono Ratuszem Miejskim, a w miarę jak miasto rozrastało się i zyskiwało na znaczeniu, rada miejska powiększała ratusz o sąsiednie kamieniczki, co jest czymś wyjątkowym, gdyż zazwyczaj w każdym mieście wznoszono specjalny budynek.

Z Ratusza powędrowaliśmy starym szlakiem koronacyjnym cesarzy do katedry Św. Bartłomieja.

A stamtąd pomaszerowaliśmy przez Stary Most na drugą stronę rzeki Men, do Sachsenhausen, dawniej dzielnicy rybaków i ogrodników. I tu wojna nie oszczędziła wielu starych kamieniczek. Ocalało ich tylko kilka na dawnej ulicy Trzech Króli.

Ominąwszy fontannę Trzech Króli znaleźliśmy się w pobliżu Muzeum Sztuki Użytkowej. Zwiedzanie bogatej kolekcji muzeum zajęło nam sporo czasu i dopiero późnym popołudniem powróciliśmy na Stare Miasto.

Spacer zmęczył nas porządnie, ale zarazem sprawił wielką przyjemność, tym bardziej że dzień był pogodny. Świeciło słońce, w powietrzu czuło się już wiosnę, na skwerkach i placach zaczynały się zielenić kasztany, a rzeka Men niebieszczyła się pięknie.

Należało jednak wciąż pamiętać, że nie przyjechaliśmy tu w charakterze turystów, ale aby załatwić konkretną i ważną sprawę. Pośpiesznie zjedliśmy obiad w hotelowej restauracji i gdy słońce zaczynało chować się za dachy domów, zamówioną przez portiera taksówką (nie chcieliśmy błądzić po nieznanym mieście), kazaliśmy się zawieźć na ulicę Zygfryda 7 w okolicy Ogrodu Zoologicznego, na małą uliczkę, gdzie po obu stronach asfaltowej jezdni, za wysokimi żelaznymi parkanami, stały w ogrodach bogate wille.

Dom oznaczony numerem 7 także znajdował się w małym ogrodzie. Wysokie, żelazne, zakończone ostro kraty broniły wstępu. Drzwi przy bramie otwierały się automatycznie, gdy w willi zwalniano elektryczny zatrzask w zamku.

Wyłożona betonowymi płytkami droga zaprowadziła nas przed lśniące lakierem dębowe drzwi. W rozległym holu czekała na nas młoda pokójówka, zdaje mi się że Hiszpanka, na co wskazywał jej akcent.

– Pani von Dobeneck oczekuje panów w swojej sypialni. Jest chora – poinformowała nas i poprowadziła za sobą.

Na schodach panował półmrok, jakby oszczędzano tu światła elektrycznego. Mrok pogłębiały ciemne boazerie, którymi wyłożono ściany klatki schodowej.

Sypialnia była ogromna, z wielkim kominkiem i szerokim tapczanem, umieszczonym między dwoma oknami, zasłoniętymi ciężkimi kotarami. Na tapczanie leżała starsza pani okryta szczelnie kołdrą. Na głowie miała biały czepek, spod którego wymykały się kosmyki siwych włosów. Twarzy dokładnie nie widziałem, bo pokójówka wskazała nam krzesła przy drzwiach, a lampa na stoliku tuż koło drzwi nie sięgała blaskiem do tapczanu. Sypialnia była starannie wysprzątana, nigdzie nie dostrzegłem porzuconego szlafroka ani żadnego lekarstwa na nocnym stoliku.

– Od tygodnia trapi mnie grypa – odezwała się pani Dobeneck dość młodym i miłym głosem. – W tym roku jest bardzo ostra i zaraźliwa. Dlatego lepiej będzie, jeśli panowie zachowają pewne środki ostrożności.

– Ależ tak, naturalnie – przytaknął dyrektor Marczak – gdyż i u nas grypa przebiega ostro, z wielkimi powikłaniami.

Przycupnęliśmy na krzesełkach w dość dużej odległości od tapczanu. Marczak szybko zreferował cel naszej wizyty. Przypomniał o liście pani Dobeneck i o odpowiedzi, jakiej udzieliły polskie władze.

– Przystaliśmy na pani warunki – stwierdził – i powiadomiliśmy o tym panią. Niestety, minęły trzy miesiące i nie wskazała nam pani miejsca, gdzie są ukryte skrzynie ze zbiorami. Zdecydowaliśmy się więc przyjechać do Frankfurtu, aby osobiście wyjaśnić tę sprawę i doprowadzić ją do końca.

Odpowiedź nie nadchodziła dość długo. Pani Dobeneck milczała, być może starała się dobrać takie słowa, które by nas nie uraziły.

– Odradzono mi kontynuuowanie tej sprawy – wyrzekła w końcu bardzo cicho, jakby odrobinę zawstydzona.

– Kto pani odradził? Dlaczego? – zdumiał się Marczak.

– Nie mam żadnej gwarancji, że zwrócicie mi rodzinną biżuterię. I to całą – podkreśliła.

Dyrektor Marczak zaniemówił na moment, tak nim wstrząsnęło to oświadczenie.

– Pani chyba zapomniała, że to Ministerstwo Kultury i Sztuki oficjalnie przyjęło pani warunki. Zwrócimy pani całą biżuterię – również podkreślił to słowo. – Skrytkę otworzymy komisyjnie i dokonamy inwentaryzacji odnalezionych w niej przedmiotów. Zresztą nie ma żadnych przeciwwskazań, aby i pani wzięła w tym udział.

– Jestem już stara i nie mogę podróżować – padła odpowiedź.

– Więc może wnuk? Albo ktoś upoważniony – podsunął Marczak.

– Alfred nie zgodzi się wyjechać do waszego kraju. Jesteśmy do niego uprzedzeni, nie muszę chyba wyjaśniać, dlaczego.

– Tak, nie musi pani – odparł ze złością Marczak. – Ale od tego czasu minęło trzydzieści lat. Porozumiały się rządy naszych krajów, więc i osoby prywatne też mogą się porozumieć. Pani odzyska biżuterię rodzinną, a my trochę zabytkowych przedmiotów, związanych nie tylko z naszą, ale i niemiecką kulturą. Zgodnie z przyjętymi warunkami przedmioty stanowiące wartość dla kultury niemieckiej przekażemy do Muzeum Goethego we Frankfurcie. Przyjęliśmy warunki, aczkolwiek wszystkie te rzeczy zgodnie z prawem jako mienie poniemieckie należą do narodu polskiego.

– Nie mieliście innej możliwości. Jeśli wam nie wskażę kryjówki, nie odnajdziecie jej – zaśmiała się cicho pani Dobeneck.

– Ale ja zmieniłam zdanie. Skrytka jest znakomicie zabezpieczona, przedmioty nie ulegną zniszczeniu, jeśli nawet poleżą jeszcze kilka lub kilkanaście lat.

Dyrektor wzruszył ramionami:

– Na co pani liczy? Ależ to nonsens, proszę pani. Bez naszego udziału nigdy nie odzyska pani rodzinnej biżuterii.

Pani Dobeneck znowu milczała, jakby szukając słów, które nas nie obrażą.

– Jestem stara i być może nie doczekam tej chwili – rzekła po jakimś czasie. – Ale tajemnicę schowka przekazałam Alfredowi. On jest młody i może czekać. Żałuję, że naraziłam panów na kłopot i kosztowną podróż do Frankfurtu, choć nie poczuwam się w tym wypadku do winy, ponieważ nie zachęcałam panów do tego. Należało właściwie zrozumieć moje milczenie.

Dyrektor Marczak podniósł się gwałtownie z krzesła, a ja uczyniłem to samo. I mnie także gniew jeżył włosy na głowie.

– Zanim powiem pani „do widzenia" – zabrałem głos – pragnę panią ostrzec, że osobnicy, którzy rozpoczęli poszukiwanie schowka, wkrótce zostaną zatrzymani i poniosą zasłużoną karę.

– Nikogo nie upoważniałam do poszukiwań – odparła z oburzeniem pani von Dobeneck.

Wzruszyłem ramionami:

– Być może mówi pani prawdę. Ale na wstępie rozmowy wspomniała pani, że radziła się kogoś w sprawie ukrytych zbiorów: Otóż prawdopodobnie ten „ktoś" albo sam rozpoczął poszukiwania, albo też miał zbyt długi język. Muszę panią powiadomić, że przedwczoraj w pani byłym pałacu w Gardzieniu spotkałem dwie zwalczające się grupy poszukiwaczy skarbów i handlarzy antyków.

Pani Dobeneck aż usiadła na swoim wielkim łożu.

– Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego. To mnie niepokoi, panowie...

Po chwili jednak znowu położyła się na łóżku. Mruknęła:

– Niech sobie szukają. Schowek jest zupełnie gdzie indziej i nikt go nie odkryje bez moich wskazówek.

– W Forcie Lyck także niczego nie ma – stwierdziłem.

Pani Dobeneck wybałuszyła na nas oczy pełne zdumienia.

– Tak, łaskawa pani – skinąłem głową. – Dlatego radzę jeszcze raz przemyśleć całą sprawę.

Zobaczyłem, że pani Dobeneck wyciągnęła rękę w kierunku stolika i przycisnęła niewidoczny dla nas guzik dzwonka. Po chwili w drzwiach stanęła pokojówka.

– Proszę wyprowadzić tych panów – oświadczyła pani Dobeneck.

Skłoniliśmy się chłodno i w milczeniu opuściliśmy sypialnię. Odniosłem wrażenie, iż moje ostatnie słowa o Forcie Lyck były jak granat z opóźnionym zapłonem, pozostawiony w pokoju starej pani. Minie chwila, on wybuchnie i rozpryśnie się dobry humor pani Dobeneck.

(Cdn.)

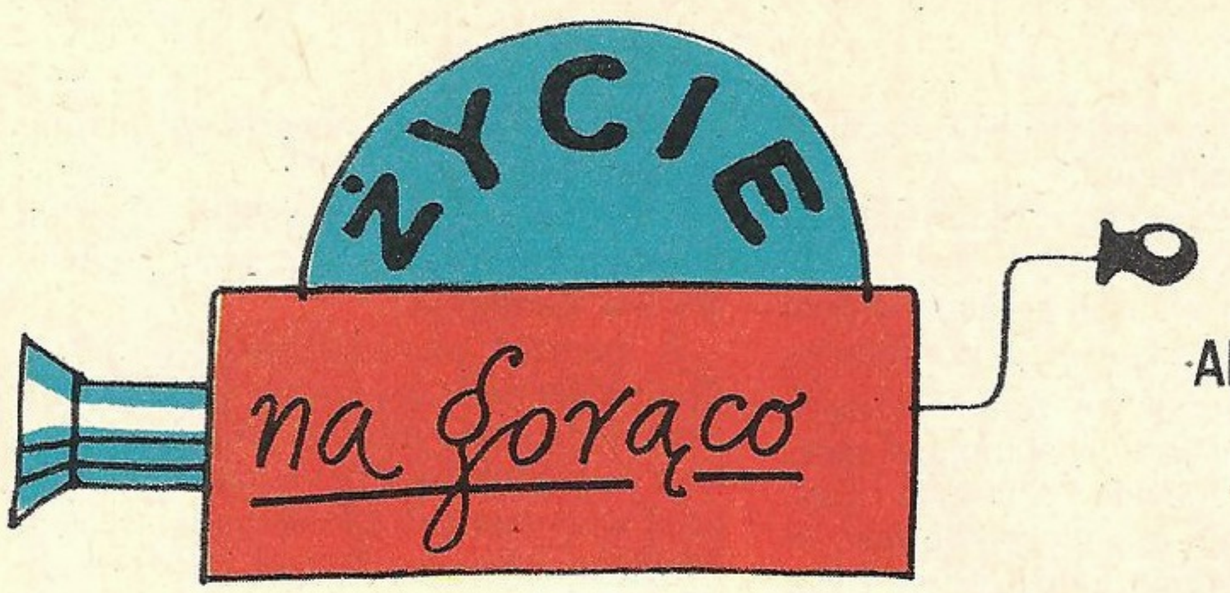

CZYLI SZKOLNA PRIMA-APRILISOWA KRONIKA FILMOWA

W dniu tak uroczystym a zarazem jedynym w swoim rodzaju, jakim jest pierwszy dzień kwietnia, zapraszamy wszystkich chętnych i niechętnych na niepowtarzalną premierę szkolnej kroniki filmowej, która odbędzie się na scenicznych deskach teatrzyku estradowego.

OSOBY:
Komentator kroniki
Reżyser filmowy
Reporter
Profesor
Uczniowie z klas: VIIIa, VIc i VIIb
REKWIZYTY:
Filmowy projektor, wycięty z kartonu lub zrobiony z pudełka, z umieszczoną wewnątrz lampą
Bandaże
Duże, papierowe, graficzne znaki pierwiastka
Różnej wielkości młotki
Kawałki blachy i papier imitujący blachę
Szklanki, kubki, butelki i inne naczynia
Dwie zwinięte z papieru tuby imitujące lufy

Komentator kroniki:
Witam państwa serdecznie na projekcji trójwymiarowej primaaprilisowej szkolnej kroniki filmowej, zrealizowanej pod wpływem najnowszej fali, której przypływ następuje tylko pierwszego kwietnia, a nakręconej przez zupełnie nieznanego reżysera i operatora w jednej osobie o głośnym, acz popularnym nazwisku Kowalski. Panie reżyserze, prosimy!

(Na scenę wychodzi reżyser od stóp do głowy owinięty bandażem).

Reżyser:
Przepraszam bardzo, że w takim stanie... ale kręcąc kronikę starałem się chwytać szkolne życie na gorąco...
Komentator:
Współczujemy i dziękujemy! Brawo dla pana reżysera! Czy można wiedzieć, co skłoniło pana do nakręcenia tego niesłychanego dokumentu?
Reżyser:
Chciałem ukazać życie szkoły takie, jakie jest ono na co dzień, bez zbytecznych ubarwień i upiększeń...
Komentator:
No, i co, udało się?
Reżyser:
Proszę obejrzeć nakręcony materiał...
Komentator:
Panowie asystenci, materiał proszę!
(Wchodzi jeden z asystentów wnosząc kawałek kretonu).
Komentator *(zdenerwowany):*
Nie kretonowy, ale filmowy! Filmowy materiał!
Asystent:
Ale fonia czołówki wysiadła...
Reżyser:
Kiedy?
Asystenci:
Po drodze, na przedostatnim przystanku autobusowym...
Komentator:
Trudno! Odtrąbimy czołówkę sami. Proszę, wszyscy wstajemy i trąbimy „Wlazł kotek na płotek!" Trzy, cztery!
(Podczas gdy widownia „trąbi" sygnał czołówki, asystenci zapalają lampę projektora oświetlając scenę-ekran, na którą wchodzą uczniowie wnosząc różnych rozmiarów graficzne znaki pierwiastka).
Głos komentatora:
Naszą kronikę zaczynamy od odwiedzin w klasie VIIIa podczas lekcji matematyki.
Uczniowie (starają się wyciągnąć na długość przyniesione ze sobą pierwiastki)
I... raz! I... raz!
(jedni wyciągają pierwiastki samodzielnie, inni pomagają sobie nawzajem)
Głosy uczniów:
Ciągnij! Trzymaj! Mocniej! Kiedy nie mogę!...
I... raz! I... raz!
Głos komentatora *(przekrzykując uczniów):*
Wywiad z klasą VIIIa przeprowadza reporter naszej kroniki *(na ekranie ukazuje się reporter z mikrofonem w ręku).*
Reporter:
Przepraszam bardzo, ale chciałem zapytać, co tu się właściwie dzieje?
Uczniowie *(nie przerywając pracy):*
Wyciągamy pierwiastki!
Reporter:
Niesłychane! No, i jakie są rezultaty?
Jeden z uczniów:
Przed chwilą padł właśnie zupełnie nie naciągany rekord w wyciąganiu. Koledze Pyćkiewiczowi udało się wyciągnąć pierwiastek na niespotykaną dotąd długość 50 cm!
Reporter:
Niesamowite! Prosimy rekordzistę o dwa słowa dla kroniki, jak doszedł do takiego wyniku.
(Na pierwszy plan wysuwa się dość pokaźnej

budowy rekordzista z olbrzymim pierwiastkiem w ręku).

Rekordzista:
Po prostu zaczepiam pierwiastek za tę tu (demonstruje) wystającą część, o ławkę, no i ciągnę!

Uczniowie *(entuzjastycznie):*
Brawo, brawo!

Reporter:
A jakie są plany kolegi na przyszłość?

Rekordzista:
Opracowuję metodę wyciągania pierwiastka wszerz, czyli rozciągania. Będzie to dla matematyki epokowe odkrycie, które pozwoli na...

Profesor *(wpada nagle na scenę):*
Nie pozwalam! Tego już za wiele! Kompletne nonsensy! To jest sprzeczne ze wszystkimi prawami, a przede wszystkim matematycznymi! Kto słyszał o rozciąganiu pierwiastka?

Reporter *(speszony):*
Przepraszam bardzo, ale skąd pan profesor tu tak nagle...

Profesor:
Wyszedłem na chwilę z siebie, bo nie mogłem już dłużej wytrzymać. To straszne, co się tu dzisiaj dzieje!
(Zdeterminowany, drze włosy z głowy).

Reporter:
Ależ, profesorze, proszę się uspokoić!
(Zwraca się do niewidocznych dla widza domniemanych osób obsługujących kamery):
Panowie, zbliżenie klasy proszę, rekordzisty i profesora!
(Uczniowie wyciągający pierwiastki podchodzą jak najbliżej widowni „robiąc zbliżenie", to samo oddzielnie robią rekordzista i profesor).

Profesor *(z rozpaczą w głosie):*
Tutaj to jeszcze nic... ale co się dzieje w VI c!
(Następuje błyskawiczna zmiana obrazu, czyli uczniowie z VIIIa wybiegają, a ich miejsce zajmuje klasa VI c wyposażona w najrozmaitszego rodzaju młoty, młotki i młoteczki, kawałki blachy oraz dużą ilość papieru imitującego blachę).

Uczniowie (pracowicie kując blachę):
Podgrzej tę blachę! Łap! Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy! *(Jeden z uczniów stale przynosi nowe porcje, blachy).*
Raz, dwa, trzy! Raz, dwa, trzy! Ufff!

Głos komentatora:
W klasie VIc uczniowie z zapałem oddają się nauce języka rosyjskiego...
(Na scenę wbiega profesor, ciągnąc za rękę reportera).

Profesor *(zdenerwowany):*
No, niech pan sam zobaczy, co tu się dzieje!
(Do uczniów)
Co tu się dzieje?!

Uczniowie *(chórem):*
Kujemy!

Profesor:
Ale jak? I wy to nazywacie uczciwym kuciem? Osobiście nie mam nic przeciwko kuciu, ale za moich młodych lat kuło się zupełnie inaczej!

Jeden z uczniów:
Zerwaliśmy z tradycyjnymi metodami kucia na pamięć!

Uczennica:
My kujemy na gorąco i na blachę!

Reporter *(podstawiając uczennicy mikrofon):*
A co z wynikami? Jakie macie wyniki?

Uczniowie *(chórem);*
Nasza klasa przoduje w zbiórce złomu!

Głos komentatora:
Proszę projekcję w zwolnionym tempie, żeby wszyscy mogli dokładnie zaobserwować tę skądinąd ekonomiczną z przemysłowego punktu widzenia metodę.
(Obraz na ekranie zaczyna poruszać się bardzo powoli, tak aby widzowie mogli dokładnie zaobserwować proces kucia).

Głos komentatora:
A teraz przenosimy kamery do klasy VIIb, właśnie tam odbywa się sprawdzian z polskiego.
(Obraz na ekranie zmienia się, na scenie pojawiają się uczniowie kl. VIIb wnosząc ze sobą kubki, szklanki, butelki itp. pełne wody).

Uczniowie *(przelewając wodę z jednego naczynia do drugiego):*
Hej-chlup! Hej-chlup!
(Do klasy wchodzi reporter prowadząc pod rękę słaniającego się profesora i ciągnąc za sobą mikrofon) (Reporter zadaje bezgłośnie jakieś pytanie, klasa również bezgłośnie odpowiada, profesor chwyta się za głowę)

Głos komentatora:
Ponieważ nasz reporter zapomniał o mikrofonie i nic nie było słychać, czytam pytanie i odpowiedź.
Pytanie: Na jaki temat lejecie wodę?
Odpowiedź: Już nie pamiętamy!

Profesor *(jęczy):*
Oooooo!
(Nagle wszyscy na ekranie zaczynają gwałtownie podskakiwać, łącznie z reporterem i profesorem)

Głos komentatora:
Przepraszamy bardzo za chwilowe zakłócenia w odbiorze, ale naszym filmowcom zakręciło się w głowie od tej ilości wody. Można powiedzieć, że im woda wprawdzie nie sodowa, ale mocno uderzyła do głów. A teraz przenosimy się...
(Gaśnie światło)

Głos komentatora:
Przepraszamy bardzo, ale taśma filmowa nie mogła już dłużej wytrzymać i zerwała się. Ze względu na dobro taśmy, zmuszeni jesteśmy zrezygnować z wyświetlania dalszej części kroniki i musimy zadowolić się tylko jej zakończeniem. *(Zapala się światło)*
(Na scenie siedzą w kole uczniowie owinięci zwiniętymi w tuby rulonami papieru imitującymi lupy. Jedni z nich mają zawinięte nogi, inni nogę i rękę, jeszcze inni głowy. Profesor i redaktor wchodzą, a właściwie wczołgują się podtrzymując się nawzajem).

Redaktor *(wyczerpanym głosem):*
Myślałem, że po szkolnym szklepiku, w którym sprzedają olej do głów, nic już mnie nie jest w stanie zdziwić, a jednak przyznam, że to, co tu widzę...

Profesor *(równie słabym głosem):*
To jest ich szkolne kółko samopomocy koleżeńskiej... Każdy sam siebie wyciąga w kółku z tych tam...

Uczniowie *(usiłując z mozołem uwolnić się z owijających ich rulonów papieru):*
Z luf!!!

Głos komentatora:
To okropne, nie mogę patrzeć, jak ci biedacy się męczą! Proszę o przyspieszenie tempa filmu!
(Obraz na ekranie zaczyna poruszać się w błyskawicznym tempie, czyli uczniowie bardzo szybko wyzwalają się z luf, profesor gestem rozpaczy chwyta się za głowę, a reporter z emocji podskakuje).

Profesor:
To straszne! Co teraz będzie? Wszyscy się wyciągnęli z luf!
(Oglądając, już w normalnym tempie, porzucone lufy) Co do jednego! Co warta jest szkoła bez uczniów nie mających luf? Nie ma już naszej szkoły!
(Siada i głowę obejmuje dłońmi. Dookoła obstępują go skonsternowani uczniowie).

Uczniowie:
Myśmy nie chcieli... Przepraszamy... To się już więcej nie powtórzy!... To tylko dziś...

Profesor:
Chwileczkę, chwileczkę, a którego to dzisiaj mamy?
(Dwóch uczniów wnosi olbrzymią kartkę z kalendarza z datą 1 kwietnia).

Profesor *(zdumiony):*
Czy to jest możliwe?

Reporter:
Czy mnie wzrok nie myli?

Profesor i redaktor *(chórem):*
No tak, wszystko jasne!

Wszyscy chórem:
Dziś prima aprilis!

Profesor:
No, dobrze, ale co my zrobimy w szkole bez uczniów z lufami?

Wszyscy:
To straszne!

Głos komentatora:
Nie martwcie się!
(Wszyscy zdumieni patrzą do góry, szukając źródła głosu).
Cofniemy po prostu taśmę filmu!

Wszyscy:
Hura!

Głos komentatora:
Proszę się trzymać, bo już cofamy!
(Obraz na ekranie cofa się, czyli powtarzane są wszystkie wykonywane czynności w odwrotnej kolejności aż do zgaszenia światła włącznie).
Gaśnie światło, słychać odgłos przesypywanych kamieni i krzyk. Zapala się światło i na scenę wchodzi owinięty bandażami komentator)

Komentator:
Przepraszam bardzo... to lawina kamieni, które spadły z serc nauczycieli... ale zdążyłem odskoczyć... Teraz już wiem, co znaczy chwytać życie na gorąco.

Napisała Kaja Perkowska
Ilustr. Jerzy Flisak

Koniec z tik-takiem

Zegary na nowej drodze życia

Kiedy i kto wynalazł tykanie zegarka? Otóż wiadomo dokładnie: był nim zegarmistrz angielski Tomasz Mudge, który w r. 1759 skonstruował mechanizm wychwytowy taki, jaki stosowany jest w zegarkach do dzisiaj. Właśnie ten mechanizm, nadający przekładni zębatej ruch skokowy w takt wahań regulatora sprężynowego, zwanego „balansem", powoduje charakterystyczne stukanie.

Oczywiście, istnieją różne odmiany mechanizmu wychwytowego, a mechanizm zegarowy jako całość ma wielowiekową historię i bywał wielokrotnie udoskonalany. W XVII i XVIII w. uważano zegarmistrzostwo za sztukę uosabiającą szczyty pomysłowości ludzkiej i precyzji wykonania, a do zegarów odnoszono się nieledwie jak do istot żyjących. I oto jesteśmy świadkami przełomu w historii zegarów i zegarków: druga połowa naszego stulecia wprowadza zegary niejako na nową drogę życia, pozbawiając je odgłosu równie charakterystycznego, jak dla człowieka bicie serca – pozbawiając je tykania.

Można powiedzieć, że początek tego okresu przypada na rok 1929 – a więc na stosiedemdziesięcioletnią rocznicę wynalazku Mudge'a – kiedy to rodak tego właśnie zegarmistrza, pan Marrison, wynalazł zegar kwarcowy. Kwarc jest minerałem, który w układzie wytwarzającym drgania elektryczne może – odpowiednio przycięty – spełniać rolę bardzo dokładnego regulatora. Reguluje zaś częstotliwość obrotów silnika elektrycznego używanego do napędu przekładni zębatych, które z kolei uruchamiają wskazówki zegarowe. Dokładność chodu takiego zegara kwarcowego jest bardzo duża i wynosi jedną setną, a nawet jedną tysięczną część sekundy na dobę. (Dla celów naukowych i taka dokładność jest jednak niewystarczająca i dlatego korzysta się z zegarów atomowych, których praktyczna dokładność wynosi 1 sekundę na 300 lat!).

Coraz częściej stosowaną odmianą zegarów napędzanych impulsami prądu elektrycznego są zegary, w których zamiast tarczy i wskazówek do odczytywania czasu służą tabliczki z cyframi: tabliczka minutowa zmienia się (opada lub przekręca) co minutę, tabliczka godzinowa – co 60 minut. Zegary takie umieszczane są przeważnie w miejscach publicznych, na przykład na Dworcu Centralnym w Warszawie.

Cyfrowy odczyt czasu, który jeszcze kilkanaście lat temu był stosunkowo rzadko spotykany, staje się obecnie coraz bardziej powszechny – tym bardziej że urządzenia elektryczne i pod tym względem stają się coraz bardziej praktyczne, wszechstronne – i tanie.

W najrozmaitszych elektronicznych urządzeniach pomiarowych już od przeszło dwudziestu lat stosuje się – obecnie już bardzo często – tak zwane lampy cyfrowe. W bańkach szklanych znajduje się zespół drucików ukształtowanych tak, że przy pojawieniu się napięć elektrycznych przez szkło bańki zaczyna się jarzyć właściwa cyfra – od zera do dziewiątki. Lampy tego typu lub urządzenia odczytowe cyfrowe w połączeniu z odpowiednimi układami elektronicznymi umożliwiają budowanie zegarów całkowicie elektronicznych – bez jakichkolwiek części mechanicznych lub elektromechanicznych. Nic się w takich zegarach nie porusza, nic nie tyka, nic nie obraca. Drgania elektryczne są w układach elektronicznych regulowane, zliczane i kierowane na odpowiednie elektrody cyfrowych urządzeń odczytowych, które bezszelestnie i z dużą dokładnością wskazują odpowiednią godzinę, minutę, sekundę, a nawet części sekundy.

Po naciśnięciu guziczka

O tym, jak bardzo we współczesnej cywilizacji jesteśmy uzależnieni od znajomości „dokładnego czasu", można by napisać całą książkę. Właśnie dlatego systematycznie sprawdzamy i regulujemy zegary domowe i własne zegarki, korzystając z sygnałów czasu nadawanych przez radio i zegarynkę telefoniczną.

W Anglii wprowadzono doświadczalnie system nadawania przez radio sygnałów czasu odbieranych bezpośrednio przez zegary. Oczywiście, nie są to zwykłe zegary, lecz zegary elektroniczne – i to w dodatku wyposażone w odbiorniki radiowe nastawione stale na falę, na której owe sygnały są nadawane. Każdy zegar

ma swój własny odbiornik, przez który otrzymuje sygnały wskazujące dokładną godzinę, minutę i sekundę, po czym ten czas wyświetlany jest na cyfrowym polu odczytowym. Oczywiście, taki zegar (łącznie z odbiornikiem) ma wymiary pudełka czy skrzynki i nie nadaje się do noszenia.

Postępy elektroniki umożliwiły również konstruowanie zegarków na rękę pozbawionych absolutnie jakichkolwiek części ruchomych, wykazujących na tarczy czas w postaci cyfrowych wskazań godzin i minut. Pierwsze tego typu zegarki produkowane są na razie przy współpracy z przemysłem japońskim. Tarcza tego zegarka jest zupełnie ciemna i dopiero po przyciśnięciu odpowiedniego guziczka pojawiają się cyfry wskazujące dokładny czas. Zegarka się nie nakręca, zasila go malutka jak niewielki guziczek bateryjka, którą wymienia się jedynie raz do roku. W środku zegarka znajduje się specjalny, elektroniczny układ scalony, który jest właściwie jednym niewielkim kryształkiem krzemu. W kryształku tym za pomocą specjalnych, bardzo precyzyjnych procesów fizykochemicznych wytwarza się pewne właściwości działające tak, jak dziesiątki tranzystorów i innych elementów elektronicznych połączonych w jeden bardzo skomplikowany układ, choć oczywiście nierozdzielnych. Jasne, że zegarek taki, jeśli trzeba, nastawia się w zupełnie inny sposób aniżeli zegarki mechaniczne: do odpowiedniego miejsca koperty zegarka przystawia się mały magnesik, dzięki któremu w krótkim czasie można wyregulować zegarek i nastawić właściwy czas.

Słońce na zegarku

Zegarki elektroniczne produkowane są już na świecie w znacznych ilościach i najróżniejszych odmianach. Istnieją zegarki, które wskazują nie tylko godzinę i minutę, lecz i datę; zegarki – stopery; zegarki – kalkulatory, za pomocą których można nie tylko upewnić się, która jest godzina, ale i wykonać proste obliczenia arytmetyczne. Przy czym, co warto podkreślić, wszystko to są zegarki produkowane już masowo i oferowane w normalnej sprzedaży.

A jakie niezwykłe zegary konstruowane są do celów doświadczalnych lub reklamowych! Na przykład jedna ze szwajcarskich firm zegarmistrzowskich wykonała urządzenie o wymiarach 5,5 × 6 cm, które jest zarazem kalkulatorem arymetycznym, telewizorem o przekątnej ekranu 2,5 cm, aparatem do mierzenia pulsu... i na dodatek – zegarkiem. Trudno powiedzieć, czy pomiar czasu jest zasadniczą, czy też uboczną funkcją tego przyrządu.

Choć więc zegarek elektroniczny z odczytem cyfrowym jest sam w sobie urządzeniem supernowoczesnym, już dziś pojawiają się czasomierze, które można nazwać ekstrasupernowoczesnymi, usuwające w cień niedawne „przeboje" techniki zegarmistrzowskiej. „Dawniej" – to znaczy zaledwie trzy, dwa lata temu – świecące cyferki zegarków elektronicznych utworzone były z tak zwanych diod elektroluminescencyjnych, które wymagały zasilania napięciem elektrycznym. Dla oszczędności energii owe diody są wyłączone, dopiero przy odczycie trzeba przycisnąć specjalny „guziczek" umieszczony na kopercie zegarka. Dziś coraz częściej pojawiają się zegarki z cyframi wykonanymi za pomocą tzw. ciekłych kryształów: świecą one same przy świetle zewnętrznym (w ciemności jednak wymagają podświetlenia).

„Dawniej" raz do roku trzeba było wymieniać bateryjkę zasilającą układ elektroniczny zegarka; Teraz pojawiły się już zegarki na „energię słoneczną". Kilkugodzinne nasłonecznienie zegarka wystarcza, aby utrzymać go w ruchu nawet przez cały kwartał.

Spójrzmy, jaką drogę przeszły zegary i zegarki w ciągu wieków, aby uchwycić postęp, jaki się w tej dziedzinie dokonał. Od wybijania godzin dla oznaczenia dokładnego czasu doszliśmy do zegarów atomowych, odliczających upływ czasu z niewyobrażalnie wielką dokładnością; od ciężarków i sprężyn używanych do napędu – do elektryczności wytwarzanej nawet bezpośrednio w zegarku z energii słonecznej. Zegary, zegarki, zegarmistrzostwo, wszystko to zmieniło się nie do poznania. A przecież zachowały swoje znaczenie wyrażenia takie, jak „zegarmistrzowska dokładność", „pracować jak zegarek" i dalej będzie się mówić o kimś, że „jest punktualny jak zegarek". W dwudziestym wieku, wieku wystrzeliwania w Kosmos rakiet z dokładnością momentu startu określaną do ułamków sekundy, trzeba szanować czas i swój, i cudzy. Od skrupulatnego przestrzegania tej zasady nie zwalnia nawet... nieposiadanie najnowocześniejszego elektronicznego zegarka.

Stefan Weinfeld

OD SŁOWA – DO SŁOWA

Dzień dobry, dobry wieczór, dobranoc, do widzenia

Widać z Waszych listów, że macie dużo kłopotów z pisownią łączną i rozłączną różnych wyrazów. Są z tym rzeczywiście trudności, bo choć regulują te sprawy liczne reguły, jest także dużo wyrazów, których pisownię trzeba po prostu zapamiętać. Należą do nich m. in. podane wyżej, bardzo częste w użyciu, zwroty grzecznościowe. Tylko dobranoc piszemy łącznie, w trzech pozostałych zwrotach obowiązuje pisownia rozłączna.

Oczy i oka, uszy i ucha

Mówi się i pisze o oczach u człowieka i u zwierząt, ale o okach w sieci i okach tłuszczu na rosole. Podobnie jest z liczbą mnogą rzeczownika ucho: ludzie i zwierzęta mają uszy, dzbanki i garnki ucha. Skąd się wzięła dwoistość liczby mnogiej tych wyrazów? Przypomina ona, że niegdyś istniała w naszym języku oprócz liczby pojedynczej i mnogiej – liczba podwójna, używana na oznaczanie dwóch osób albo dwóch przedmiotów. Jej pozostałością są te formy liczby mnogiej rzeczowników oko i ucho, w których *k* i *ch* zmienia się na *cz, sz*.

Formy liczby podwójnej przetrwały także w niektórych przypadkach liczby mnogiej rzeczownika ręka, a mianowicie w mianowniku i bierniku ręce, w narzędniku rękoma (obok normalnej formy rękami) i w miejscowniku w ręku (obok normalnej formy w rękach).

Uwaga! Rażącym błędem jest spotykana niekiedy forma narzędnika liczby mnogiej ręcami.

O Katarzynie i katarynkach

Nieraz już pisałem o rzeczownikach pospolitych utworzonych od imion własnych. Oto dalsze przykłady takich przemian. Imię Katarzyna (jest ono pochodzenia greckiego i znaczy: czysta, bez skazy) dało np. nazwę kilku rzeczownikom pospolitym. Katarzynkami nazywa się odmianę gruszek, a także gatunek pierników toruńskich, niegdyś wyrabianych przez zakonnice osiadłe przy tamtejszym kościele Św. Katarzyny. Od imienia Katarzyna wywodzi się też zapomniany już dziś instrument katarynka (przypominam nowelę Bolesława Prusa pod tym tytułem). Pochodzenie nazwy tego instrumentu jest przypadkowe. Początkowo nazywano go po prostu grającym pudłem, a katarynką został nazwany od bardzo popularnej swego czasu wygrywanej na nim melodii o pięknej Katarzynie.

To się zda tylko psu na budę...

Tak nieraz mówimy, chcąc określić obrazowo, że coś na nic się nie przyda, że jest prawie bez wartości. Jest to bardzo stare powiedzonko, nawiązujące do dawnej niedoli wiejskiej. Niegdyś w ubogim obejściu chłopskim także i psia buda była klecona prymitywnie, ze starych, spróchniałych desek i gałęzi przyrzuconych słomą. Buda taka zapewniała psu bardzo wątpliwą ochronę.

Może być nie tylko „fajnie"

Od paru lat bardzo rozpowszechniły się – nie tylko wśród Was, ale i wśród dorosłych – przymiotnik fajny i urobiony od niego przysłówek fajnie. Fajne jest wszystko, co budzi dodatnie skojarzenia. Równie często mówicie o fajnej dziewczynie, jak o fajnej prywatce, wycieczce, sukience, fajnym kumplu, zegarku, longpleju. Może to i wygodny, ale też i nieporadny sposób wyrażania się, który by można porównać z otwieraniem zamków wytrychem, zamiast pasującymi do nich kluczami. W „Słowniku wyrazów bliskoznacznych", wydanym przez „Wiedzę Powszechną", znajdziecie sporo synonimów tego wyrazu. Na przykład: wyśmienity, świetny (pomysł, żart, dowcip, świetna zabawa); pyszne (ciastko); przednie (wino); do rzeczy (chłopak); równy (kumpel); dobry (kolega) i wiele innych, także gwarowych, takich jak: klawy, morowy, byczy, w dechę itp. Starajcie się więc urozmaicić i ożywić trochę swój język, zamiast powtarzać wciąż słowo fajny, które jest na dodatek germanizmem (z niem. fein, czyt. fajn).

Witold Kochański

z jednym pytaniem

Zwykle swoim najbliższym i przyjaciołom własnoręcznie dziergałam jakieś upominki imieninowo-urodzinowe z włóczki i wszyscy byli z tych podarunków zadowoleni. Chciałabym jednak zrobić coś odmiennego. Jestem zręczna, ale zabrakło mi pomysłów. Czy „Płomyk" mógłby mi coś podpowiedzieć?

Ania

Oto kolekcja drobiazgów w sam raz na urodziny, imieniny itp. okazje. Z resztek materiałów, najczęściej z flanelki lub kolorowego kretonu, szyjemy zabawne chwytaki do gorących naczyń w kształcie serduszka. Wewnątrz warstwa izolująca z gąbki lub z laminatu. Serduszka wykańczamy lamówką w kolorze jednobarwnym. Poszewki na poduszki – ostatnio bardzo modne – z materiału teksasowego (takiego samego, z jakiego szyjemy spodnie). Materiał b. praktyczny: nie brudzący się łatwo, dobry do prania, mocny. Teksasowe poduszki można ozdobić rozmaitymi aplikacjami w postaci kwiatków lub zwierząt. Można je gotowe kupić w sklepach pasmanteryjnych lub wykonać samemu z innej kolorowej tkaniny. Najdowcipniejszym prezentem byłaby poduszka-kot. Może trochę bardziej pracochłonna, ale za to efekt niemały. Najpierw należy narysować na papierze sylwetkę kota. Następnie przyłożyć formę do materiału, wyciąć i zszyć. Wnętrze kota wypełnić ścinkami z gąbki, materiału lub po prostu watoliną. Przyszyć ogon, głowę i wyhaftować oczy, wąsy i nos.

co kto lubi

Z czego się tyje? – pytacie nas często w listach, prosząc jednocześnie o radę, jak pozbyć się nadwagi. Wrogiem nr 1 wszystkich, którzy pragną zachować smukłą sylwetkę, jest podjadanie między posiłkami. A co się najczęściej podjada? – Wiadomo, słodycze. Niby niewiele, dwa ciastka, krem, kilka cukierków, porcja lodów. Jedni jedzą dla zabicia czasu – inni z łakomstwa, bo to dobre. I tak wzrasta w zastraszającym tempie ilość spożywanych kalorii, gromadzą się zapasy, których trudno się pozbyć. Oto, ile kalorii dostarczają różne smakołyki:

spory kawałek tortu przełożony masą cukierniczą	– 500 kal.
grubszy kawałek keksu	– 220 kal.
porcja lodów z bakaliami	– 350 kal.
100 g orzechów włoskich	– 705 kal.
mała butelka coca-coli	– 90 kal.
100 g cukierków	– 390 kal.

Melba przygotowana domowym sposobem – małe przyjęcie dla ośmiu osób – nie jest ani pracochłonna, ani b. kosztowna, natomiast smaczna, ale i tucząca, a więc nie dla osób ze skłonnością do nadwagi.

Oto przepis: 2 paczki galaretki owocowej rozpuścić według przepisu na opakowaniu. Na dno 8 filiżanek wlewamy po troszku przygotowany płyn i odstawiamy do zakrzepnięcia w lodówce (resztę płynu przechowujemy w temperaturze pokojowej). Następnie układamy w filiżankach po połówce pomarańczy podzielonej na cząstki, plasterek cytryny i kilka mrożonych owoców (truskawki, maliny, wiśnie). Zalewamy owoce pozostałą porcją galaretki i wstawiamy do lodówki. Wszystkie te czynności wykonujemy na kilka godzin przed przyjęciem gości. W chwili, gdy mamy podać deser na stół, wykładamy go na spodeczki odwracając filiżanki do góry dnem, a obok układamy po pół porcji lodów Bambino lub Calypso i całość dekorujemy bitą śmietaną (buteleczka kremówki). Można jeszcze posypać melbę z wierzchu posiekanymi orzechami, z boku można wetknąć dwa biszkopty. I deser gotowy.

co kto woli

Minikrzyżówka I

Poziomo: 1) znakomity nasz lekkoatleta, zdobywca złotego medalu olimpijskiego na igrzyskach w Montrealu, 4) tłuszcz pochodzenia zwierzęcego, 5) część stroju męskiego (albo niedozwolony chwyt w zapaśnictwie).
Pionowo: 1) znany nasz pamiętnikarz, żyjący w latach 1636-1701 (także naszywka na kołnierzu albo rękawie munduru), 2) oddział żołnierzy ubezpieczający wojsko na postoju lub dokonujący zwiadu, 3) część teatru starożytnego, na której odbywały się walki zapaśników i gladiatorów.

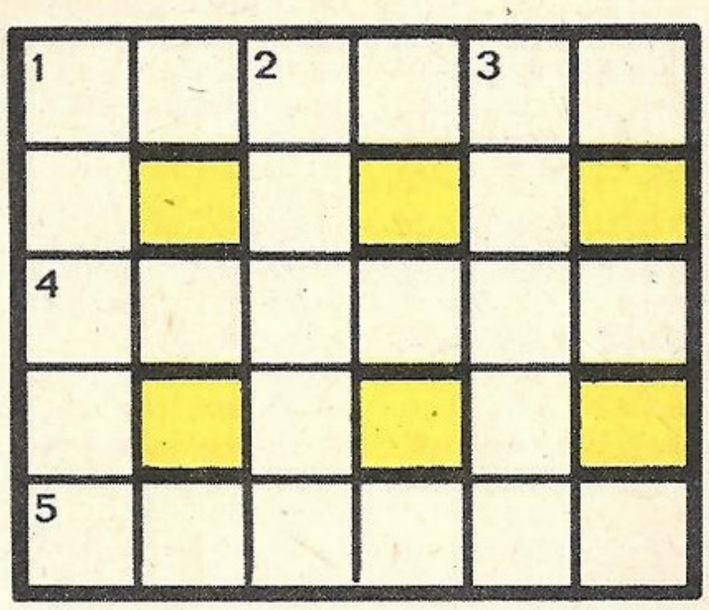

Minikrzyżówka III

Poziomo: 3) tytuł znanego miesięcznika poświęconego sprawom marynarskim, rybackim itp. 4) przybrzeżna wyspa na Morzu Bałtyckim (także miasto, dawna osada słowiańska i port morski znany już w XI wieku).
Pionowo: 1) oprzęd wraz ze znajdującą się w nim poczwarką, 2) rasa psów średniej wielkości, o długiej puszystej sierści.

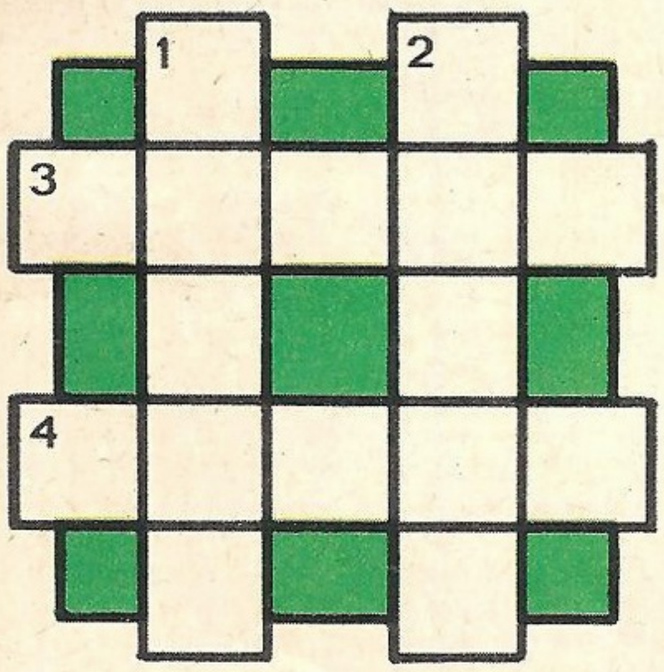

Za jednym zamachem

Figurę tę można nakreślić jednym pociągnięciem ołówka tak, aby narysowana linia nigdzie się nie krzyżowała, ani nie przebiegała dwukrotnie po tych samych odcinkach. Postarajcie się odtworzyć rysunek możliwie szybko.

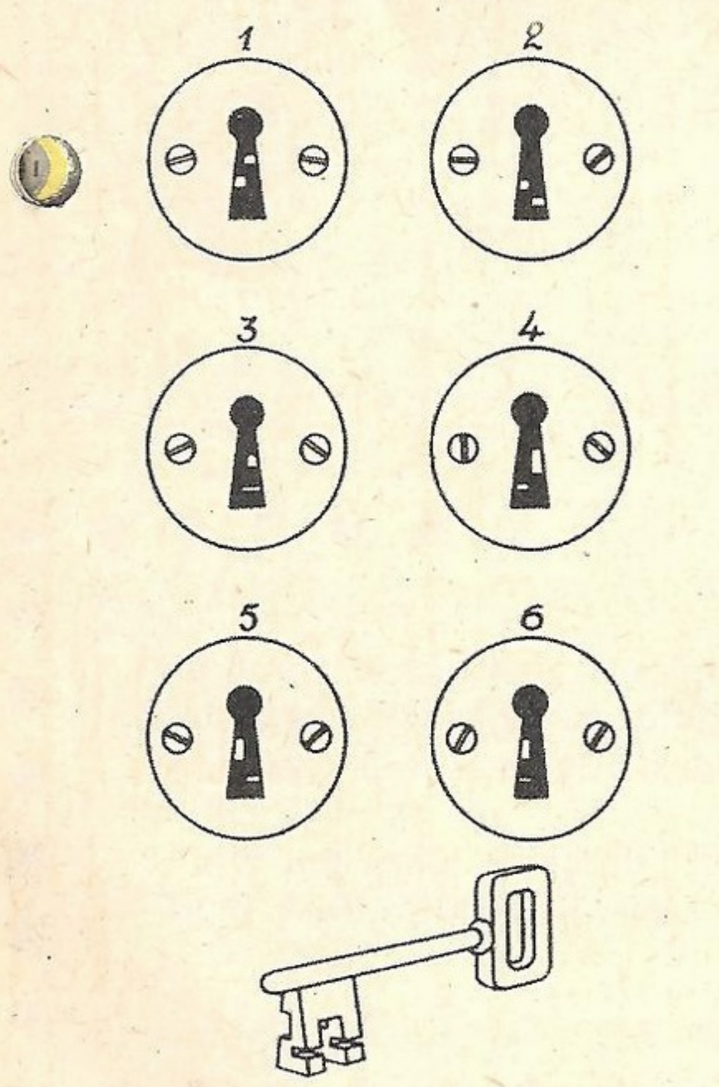

Do którego zamka pasuje ten klucz?

ROZWIĄZANIA Z NRU 2

Krzyżówka. Poziomo: 1) derkacz, 5) waran, 8) rwa, 9) nadwaga, 10) renta, 11) Zan, 13) ramota, 17) namowa, 20) kit, 21) gitara, 22) Engels, 23) bon, 24) malina, 25) aparat.
Pionowo: 1) dinar, 2) Radom, 3) amant, 4) zraz, 5) Warna, 6) rondo, 7) Niasa, 12) antena, 14) Alina, 15) okapi, 16) Akaba, 18) magia, 19) walka.
Minikrzyżówka. Poziomo: 1) „Górnik", 4) zamiar, 5) kordon. **Pionowo**: 1) guzik, 2) rumor, 3) Idaho.
W szkicowniku druha Jacka. Jacek obserwował lwa, po czym nakreślił osiem sylwetek tego drapieżnika.

Rozwiązania nadsyłajcie pod adresem: Redakcja „Płomyka", zagadki z nru 6/77, ul. Spasowskiego 4, skr. poczt. 380, 00-950 Warszawa. Między Czytelników, którzy nadeślą prawidłowe odpowiedzi, rozlosujemy książki.

pod znakiem zapytania

Oprac. Zdzisław Nowak

Minikrzyżówka II

Poziomo: 1) znakomity polski tenisista, jeden z czołowych zawodników świata zarówno w singlu, jak i w deblu, 4) popularny pojazd jednośladowy, 5) sznur z pętlą do chwytania zwierząt.
Pionowo: 1) przedsiębiorstwo handlowe lub przemysłowe, 2) krótkotrwałe obozowisko pod gołym niebem, często organizowane przez harcerzy, 3) święta księga mahometan.

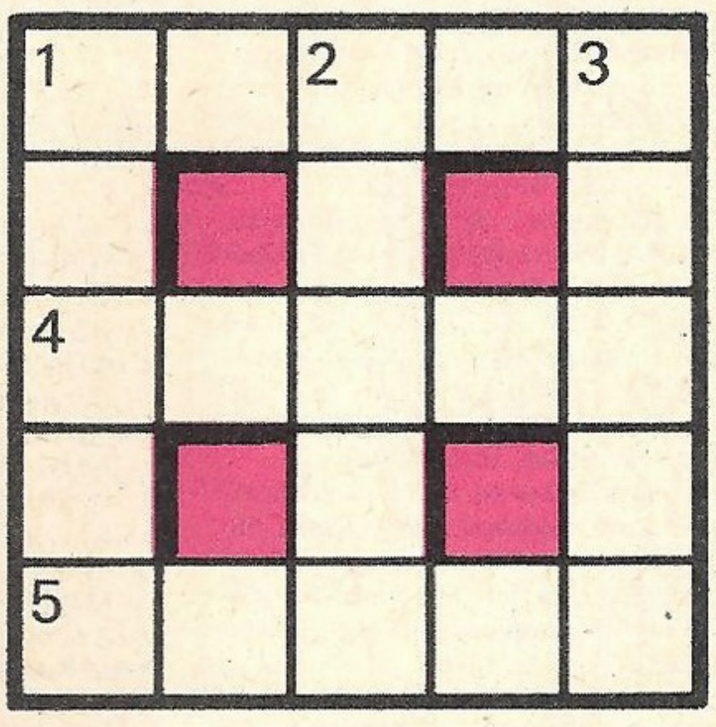

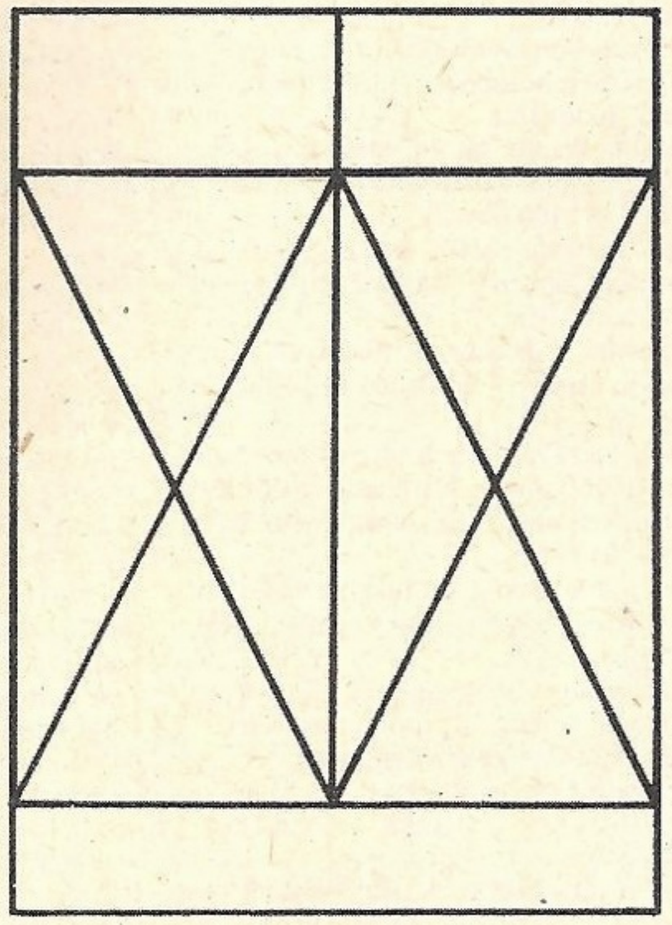

Uwaga! Za trafne rozwiązania zagadek z nru 2 „Płomyka" nagrody książkowe wylosowali: Dariusz Asman – Kędzierzyn-Koźle; Marcin Balcerzyk – Toruń; Grzegorz Ciesielski – Gomunice; Adam Grymuza – Jarosław; Arkadiusz Kwiatkowski – Tomaszów Mazowiecki; Czesław Piastowski – Olesno; Renata Półtorak – Mysłowice; Dariusz Stencel – Kartuzy; Izabella Wołoczko – Biała Podlaska; Jacek Wyka – Sztum.

100 giełda hobbistów

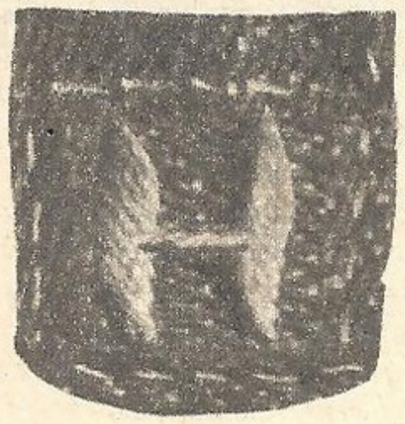

Lista nr 100

1. *Anna Andrych*, lat 14, geografia (ciekawostki, artykuły, mapy), polityka – ul. XX-lecia 7/9, 98-200 Sieradz
2. *Ryszard Arciszewski*, lat 17, motoryzacja, prospekty – ul. Kolonia Górska 8, 67-120 Kożuchów
3. *Bożena Bańdura*, lat 14, znaczki, widokówki – 34-205 Stryszawa 283
4. *Magda Bajstian*, lat 15, numizmatyka, pocztówki (zwierzęta, sport) – ul. Fr. Chopina 3a, 05-310 Kałuszyn
5. *Halina Batko*, lat 15, teksty piosenek, chemia, malarstwo – Os. Kazimierzowskie 18/71, 31-841 Nowa Huta
6. *Jerzy Bielawski*, lat 12, Indianie, samochody – Wierobie, 16-042 Zubki
7. *Tadeusz Bielawski*, lat 15, samochody (wyścigowe, rajdowe) – Miłaszówka, 16-042 Zubki
8. *Wioletta Biss*, lat 12, widokówki, maskotki – ul. Starojaworska 8/8, 59-400 Jawor
9. *Lidia Bogusz*, lat 15, baśnie, haft, kalkomanie, matematyka – Wierznowice 23, 99-440 Zduny
10. *Beata Borczykowska*, lat 15, muzyka, wróżby, psychozabawy – ul. Bartnicza 21, 85-352 Bydgoszcz
11. *Piotr Brzoza*, lat 14, taniec, wiersze własne, II wojna światowa – ul. M. Nowotki 194/1, 44-100 Gliwice
12. *Małgorzata Budka*, lat 12, geografia, widokówki, znaczki – Wólka Zabłocka, 21-111 Brzostówka
13. *Dorota Bzdawska*, lat 15, fot. aktorów (starego ekranu) – ul. Osada 41/3, 85-351 Bydgoszcz
14. *Mariusz Czarecki*, lat 14, plakietki z rajdów, astronomia i astronautyka (ciekawostki, artykuły) – ul. Jagiellońska 103/57, 25-734 Kielce
15. *Marietta Czudek*, lat 12, historia Polski (widokówki, wycinki, ciekawostki) – 43-426 Dębowiec 21
16. *Waldemar Dąbrowski*, lat 15, znaczki metalowe, breloczki, proporczyki – ul. Łabiszyńska 18/4, 03-397 Warszawa
17. *Beata Deleżyńska*, lat 13, turystyka, geografia – ul. Lidzka 9/3, 03-523 Warszawa
18. *Sławomir Dębski*, lat 15, filatelistyka, sport – ul. Hubala 12-13/31, 26-200 Końskie
19. *Dariusz Filio*, lat 16, numizmatyka, prospekty, filatelistyka – ul. Giżycka 72, 51-412 Wrocław
20. *Marlena Herzog*, lat 15, programy (opera, operetka, teatr, cyrk) – Os. Rzeczypospolitej 76/2, 61-393 Poznań
21. *Danuta Gaza*, lat 11, widokówki, przyroda, język rosyjski – ul. Polna 40, 09-500 Gostynin
22. *Anna Górna*, lat 15, widokówki, pocztówki z kwiatami – ul. Mickiewicza 10/1, 66-320 Trzciel
23. *Marek Henczka*, lat 11, motoryzacja (prospekty, ciekawostki), matematyka, proporczyki – ul. Bukietowa 15/27, 02-650 Warszawa
24. *Beata Hernik*, lat 15, matematyka – Zwoleń-Niwki 39, 26-700 Zwoleń
25. *Iwona Iwańska*, lat 13, widokówki, historia, opakowania po mydłach – ul. Manif. Lipcowego 15a/11, 41-907 Bytom
26. *Teresa Jakubowska*, lat 14, znaczki, moda, Anglia – 19-513 Żabin
27. *Mariusz Janik*, lat 13, sport, muzyka (fot. zespołów) – ul. Koreańska 8, 52-121 Wrocław
28. *Krystyna Janowska*, lat 14, filatelistyka, historia, piosenki – Nienadowa 542, 37-750 Dubiecko
29. *Sławomir Jarosz*, lat 11, fotografia (czasopisma, wycinki) – ul. Czechowskiego 15/34, 26-600 Radom
30. *Ewa Jączyk*, lat 13, sportowcy, piosenkarze – Stobnica 26, 97-334 Lubień
31. *Krzysztof Jurga*, lat 14, prospekty, naklejki, samochody – ul. M.Nowotki 10/27, 23-300 Olkusz
32. *Izabella Kaczyńska*, lat 13, konie (zdjęcia, ciekawostki, artykuły) – ul. Chopina 26a/8, 44-100 Gliwice
33. *Danuta Kajzer*, lat 14, fot. zespołów, książki – Szpęgawsk, 83-200 Starogard Gd.
34. *Beata Kałabun*, lat 13, numizmatyka (kosmos, fauna, flora) – ul. Brzeska 2d/20, 21-350 Międzyrzec Podl.
35. *Anna Kędzierska*, lat 13, widokówki, numizmatyka, teksty piosenek – ul. Armii Czerwonej 170a, 36-240 Dynów
36. *Dorota Kolasa*, lat 12, geografia, matematyka, pocztówki – ul. Solskiego 1/18, 26-600 Radom
37. *Dorota Koper*, lat 14, tarcze szkolne, filatelistyka, film – ul. Dworcowa 3a/5, 99-100 Łęczyca
38. *Renata Kordek*, lat 15, plastyka, fotografika – ul. Dunikowskiego 33/13, 70-123 Szczecin
39. *Małgorzata Karnecka*, lat 14, wiersze własne, psychozabawy, książki – ul. 11 Pułku Piechoty 26/10, 78-500 Drawsko Pom.
40. *Iwona Koszyk*, lat 13, numizmatyka, poezja, kultura Inków – ul. Moniuszki 3/8, 40-005 Katowice
41. *Katarzyna Kowalewska*, lat 14, płyty, teksty piosenek – Klimówce, 16-105 Malawicze Dolne
42. *Stanisław Kozakowski*, lat 16, przeboje, muzyka – ul. Chełmońskiego, 48-300 Nysa
43. *Radosław Kowalina*, lat 12, numizmatyka, naklejki, minisamochody, kalendarze – ul. Broniewskiego 22a/46, 01-771 Warszawa
44. *Krzysztof Kryczka*, lat 13, widokówki, zdjęcia sportowców – Zawada 76, 33-112 Tarnowiec
45. *Monika Krzyżanowska*, lat 17, fantastyka, big-beat, tenis – ul. Piastowska 39/2, 48-300 Nysa
46. *Dorota Kuklińska*, lat 15, humor, widokówki, teksty piosenek – ul. I Pułku Ułanów Krechowieckich 7/11, 16-300 Augustów
47. *Jadwiga Kwaśna*, lat 15, big-beat, przeboje, widokówki – 43-360 Meszna 239
48. *Renata Leończuk*, lat 12, geografia – ul. Armii Czerwonej 35/5, 11-220 Górowo Ił.
49. *Małgorzata Leśniak*, lat 15, dżudo, gitara, jęz. francuski – Osiedle Złotego Wieku 9/31, 31-615 Kraków
50. *Małgorzata Lewicka*, lat 13, astronomia, widokówki – ul. Odr.Woj. Pol. 54a/2, 26-700 Zwoleń
51. *Joanna Lipowska*, lat 15, psy, konie (ciekawostki, zdjęcia) – Pl. Orła Białego 6/5, 70-562 Szczecin
52. *Irena Losik*, lat 15, widokówki, karty świąteczne, filatelistyka – Ogrodzisko 45, 98-220 Zduńska Wola
53. *Małgorzata Majer*, lat 15, zoologia, II wojna światowa, język rosyjski – ul. Młynarska 20/1, 72-100 Goleniów
54. *Bogumiła Marczak*, lat 12, moda, widokówki, piosenki – Saczyn 1, 62-872 Godziesze
55. *Urszula Martyna*, lat 12, historia, znaczki, widokówki – Boża Wola, 23-103 Dębina
56. *Barbara Marzec*, lat 14, pocztówki (zwierzęta), matematyka – ul. Reymonta 52, Bukowno 32-332
57. *Sławomir Michalec*, lat 14, proporczyki, pocztówki zagraniczne – ul. Szkolna 40/7, 25-604 Kielce
58. *Ewa Mikołajczuk*, lat 13, historia, widokówki – ul. Nadbrzeżna 14, 21-350 Międzyrzec Podl.
59. *Ewa Nieborak*, lat 14, płyty, filatelistyka, pocztówki – ul. Świerczewskiego 17/1, 72-200 Nowogard
60. *Elżbieta Nowak*, lat 15, tarcze szkolne (ciekawostki o danej szkole) – ul. Kamieniec 6/8, 34-500 Zakopane
61. *Dana Oskuszková*, lat 15, sport, muzyka – CSRS, 73957 Nebory 33, Okr. Frýdek-Mistek
62. *Katarzyna Ożga*, lat 14, naklejki, plakaty – ul. Startowa 29e/10, 80-346 Gdańsk-Zaspa
63. *Lucyna Piszczek*, lat 14, medycyna, ABBA – ul. Odr. Wojska Polskiego 56/8, 26-700 Zwoleń
64. *Mieczysław Prominski*, lat 13, naklejki, pocztówki – Kłodawa, 62-651 Pomorzany Fabryczne
65. *Janusz Przebieracz*, lat 10, samochody – Gabułtów, 28-505 Kazimierza Wielka
66. *Jolanta Sadzikowska*, lat 12, muzyka, książki – ul. Daszyńskiego 27/24, 88-100 Inowrocław
67. *Mirella Rajewska*, lat 15, jeździectwo – Wągłczew, 98-211 Sędzice
68. *Kaja Rasmus*, lat 10, filatelistyka, choreografia, malarstwo – ul. Bełska 8/48, 02-638 Warszawa
69. *Paweł Respondek*, lat 15, biologia, kosmos – ul. Słowackiego 8/5, 42-200 Częstochowa
70. *Danuta Rudnik*, lat 14, znaczki, maskotki, przeboje – 38-407 Bratkówka 14
71. *Elżbieta Rybicka*, lat 12, filatelistyka, kalendarzyki, znaczki metalowe – ul. Inżynierska 26/3, 53-227 Wrocław
72. *Paweł Schmidt*, lat 13, jeździectwo, konie (zdjęcia, ciekawostki), widokówki – ul. Sportowa 1/14, 63-000 Środa Wlkp.
73. *Jacek Słowikowski*, lat 11, znaczki, żołnierzyki, proporczyki, „Mały Modelarz" – ul. Dąbrowskiego 21/10, 59-400 Jawor
74. *Wojciech Smarzowski*, lat 13, numizmatyka, piłka nożna (zdjęcia drużyn i zawodników, autografy) – ul. Sikorskiego 21, 38-460 Jedlicze
75. *Elżbieta Sokołowska*, lat 14, konie, język niemiecki, ABBA – Os. XXX-lecia PRL 178/41, 11-500 Giżycko
76. *Dariusz Stolarewicz*, lat 15, dżudo, proporczyki – ul. Turlejskiego 3/31, 18-400 Łomża
77. *Beata Surowiecka*, lat 12, znaczki, szydełkowanie, widokówki – ul. Żeromskiego 1/4, 59-400 Jawor
78. *Bożena Suska*, lat 13, malarstwo, znaczki, widokówki – Stróżewo, 09-142 Załuski
79. *Anna Szarejko*, lat 14, łyżwiarstwo, muzyka – ul. Gdańska 16a, 11-500 Giżycko
80. *Grażyna Szarejko*, lat 14, muzyka, książki – 19-513 Żabin
81. *Małgorzata Szczęch*, lat 12, muzyka, widokówki, kalkomania, matematyka – ul. Polna 32, 21-200 Parczew
82. *Szymon Szerafin*, lat 16, komiksy – ul. Wyspiańskiego 3a, 22-400 Zamość
83. *Anna Szędzielorz*, lat 13, muzyka (gitara), geografia, język angielski – ul. Grabowa 3a/21, 40-172 Katowice
84. *Bogna Szendzielorz*, lat 14, teksty piosenek, wróżby – pocztówki trójwymiarowe, ul. Paderewskiego 36/5, 41-500 Chorzów
85. *Dariusz Szymański*, lat 13, filatelistyka, sport, film – 09-531 Czermno
86. *Barbara Światowiec*, lat 12, Francja, gimnastyka art., jazda konna, rysunki (własne) – ul. Stefana Batorego 16/9, 42-200 Pszczyna
87. *Andrzej Talaj*, lat 16, plakaty (muzyczne, sportowe), pocztówki – ul. Buczka 43/53 m. 29, 42-200 Częstochowa
88. *Eugeniusz Treszczotko*, lat 15, [illegible] matyka, piłka – Staroberezowo, Sta[illegible] nin, woj. białostockie
89. *Ewa Trzmiel*, lat 13, maskotki, herby, zwierzęta, muzyka – ul. Wiosenna 8/13, 41-500 Chorzów
90. *Jadwiga Tunkiewicz*, lat 13, widokówki, kalkomanie – Wilno 15, ul. Rewoniu 68-1, LSRR
91. *Olga Tyrlicz*, lat 14, filatelistyka, piosenki, widokówki – Patoka, 59-706 Gromadka
92. *Anna Tyszkiewicz*, lat 13, geografia, zoologia, znaczki – Laskowiec Stary, 18-300 Zambrów
93. *Dorota Wajda*, lat 15, znaczki, widokówki – ul. Kopernika 7/37, 05-300 Mińsk Maz.
94. *Krystian Wenglarz*, lat 16, Starocie (zegary, żelazka), wiersze, nalepki, prospekty – ul. Pszczyńska 68/4, 44-100 Gliwice
95. *Krystian Wiercioch*, lat 15, taniec, muzyka, szkice portretów (własne) – ul. M. Nowotki 171/1, 44-100 Gliwice
96. *Wioletta Wilczyńska*, lat 14, herby, proporczyki, widokówki – ul. Wojska Polskiego 8/3, 72-320 Trzebiatów
97. *Andrzej Wojewódzki*, lat 15, matematyka, geografia, muzyka – Łubka, 21-105 Siemień
98. *Małgorzata Zawora*, lat 11, zn[illegible] widokówki – Krauszów 13, 34-471 [illegible]zmierz
99. *Danuta Zdep*, lat 14, medycyna, biologia, widokówki – Aleja 1 Maja 26/2, 15-446 Białystok
100. *Zuzanna Żmuda* lat 14, piosenkarze (ciekawostki, fotosy) – Krzęcin 250, 32-051 Wielkie Drogi

10 000 hobbistów przedstawiliśmy już w naszej „Giełdzie" w ciągu pięciu lat. Lista nr 1 wydrukowana została w nrze 10 z 1972 r.
Ten „jubileusz" uczcimy ogłaszając w następnym numerze KONKURS DLA HOBBISTÓW

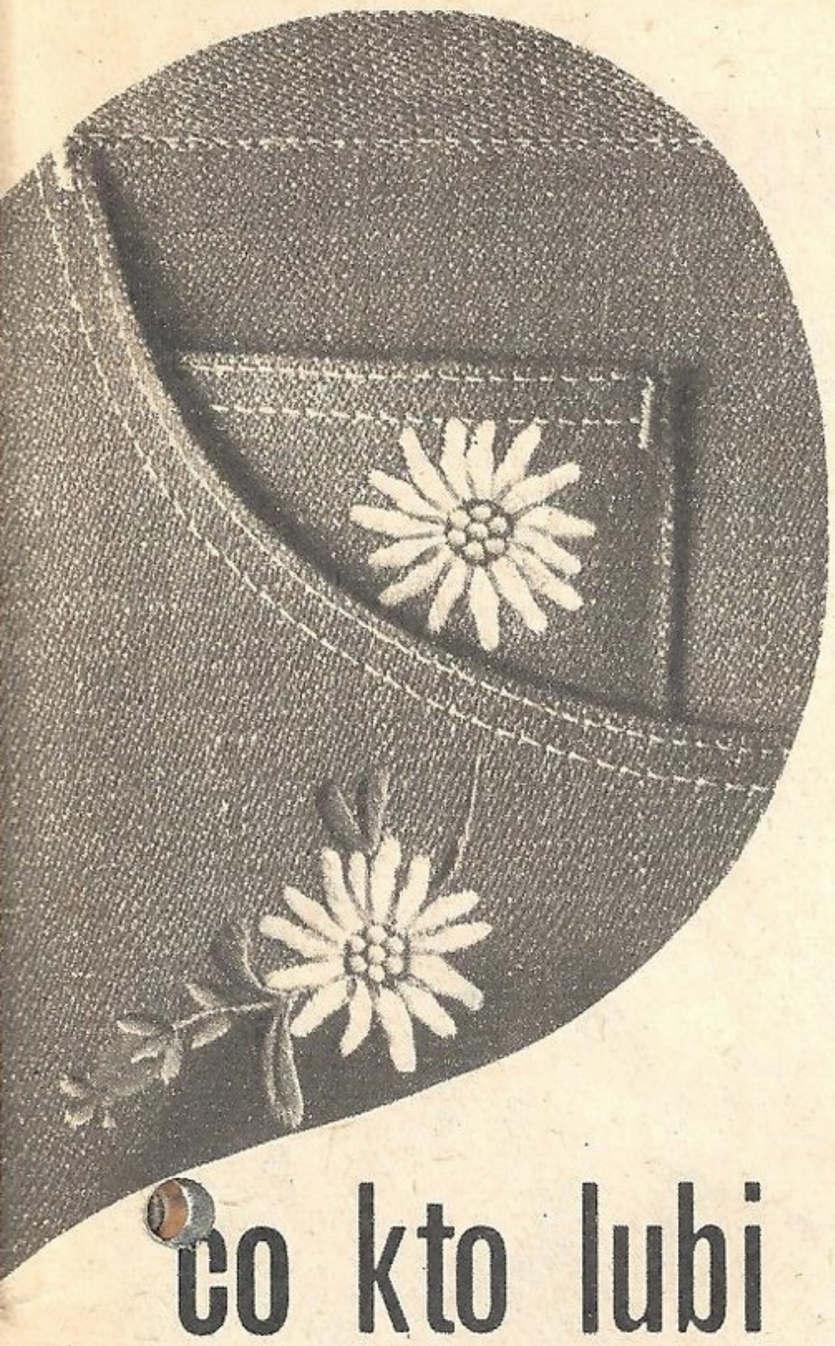

co kto lubi co kto woli

PIOSENKA „PARTITA"

W ubiegłym roku PARTITA obchodziła swoje 10-lecie. Zespół ten jest jedną z nielicznych młodzieżowych grup, która od wielu lat cieszy się niesłabnącą sympatią i popularnością młodzieżowej i nie tylko młodzieżowej publiczności.

Grupa dziewcząt z warszawskich średnich szkół muzycznych utworzona przez Janusza Kępskiego pojawiła się na estradach w 1966 r. W pierwszym okresie działalności zespół składał się wyłącznie z żeńskiego kwartetu wokalnego i z sekcji instrumentalnej. Mało kto dziś pamięta, że początkowo zespół ten specjalizował się w wokalnych transkrypcjach muzyki klasycznej, wzorując się na zagranicznej grupie „Swingle Singers". Muzyka wielkich mistrzów: Bacha, Chopina, Beethovena, Mozarta dostarczała tematów, z których powstawał repertuar PARTITY.

Skąd ten bliski związek z poważną muzyką? Może zobowiązywała nazwa, bowiem „partita" w terminologii muzycznej – w pierwotnym znaczeniu – to seria wariacji, w późniejszym – określenie to używane było również w odniesieniu do suity. Wspaniałe partity komponował m. in. wielki Jan Sebastian Bach.

Następny kierownik muzyczny grupy – Leszek Bogdanowicz – przestawił zespół na śpiewanie popularnych piosenek. Utwór z tekstem wykonała PARTITA po raz pierwszy dopiero na festiwalu „Opole 68".

Pierwszym przebojem była piosenka „Kochajcie starszych panów". Od tego momentu było coraz więcej piosenek w repertuarze PARTITY („Przychodzisz nocą bez gwiazd", „Po co martwić się na zapas"). Grupa coraz częściej brała udział w krajowych festiwalach, głównie towarzysząc solistom jako chórek.

W 1972 r. wprowadzono do zespołu dziewczęcego – mężczyzn. Dokonał tych zmian obecny kierownik Antoni Kopff, znany kompozytor, twórca takich przebojów, jak: „Do zakochania jeden krok" z repertuaru Andrzeja Dąbrowskiego, „Na przekór wszystkim będę spać" z repertuaru Alicji Majewskiej (byłej solistki zespołu). Tak więc PARTITA z grupy żeńskiej przekształciła się w pierwszą na naszych estradach wokalną grupę mieszaną; jest nią do tej pory.

Od 3 lat koncertuje samodzielnie, przestała występować jako chórek akompaniujący, spełniający na estradzie rolę drugoplanową. Grupa daje własne koncerty, na których umożliwia swoim członkom występy solowe. (Np. Wacław Masłyk piosenką „Moja Julio" zajął pierwsze miejsce na liście przebojów r. 1976).

Największe przeboje PARTITY z ostatnich lat, to: „Pytasz mnie, co ci dam", „Dwa razy dwa", „Zanim luną deszcze", „Marzyciele". Nadwornym kompozytorem PARTITY jest A. Kopff, ale zespół współpracuje stale z Maciejem Zimińskim, Jarosławem Kukulskim, Ryszardem Poznakowskim – dzięki temu osiąga różnorodność repertuaru.

Obecny skład grupy – to: Anna Pietrzak (najdłuższy staż w zespole, od 1971 r.), wywodzi się z ruchu amatorskiego, jest laureatką festiwalu w Zielonej Górze w 1976 r. Ukończyła Studium Języków Obcych na UW.

Ewa Sośnicka (siostra Zdzisławy), absolwentka wydziału pedagogiki PWSM w Poznaniu, śpiewa solo i w grupach wokalnych.

Jolanta Niewiadomska – była wicemistrzyni Polski w gimnastyce artystycznej, nie tylko dobrze śpiewa, ale i utanecznia zespół.

Wacław Masłyk – laureat krakowskiego festiwalu piosenki studenckiej, gra na gitarze, komponuje i śpiewa ballady; z wykształcenia inżynier leśnik.

Ryszard Wagner – wywodzi się ze Studia Piosenki przy Estradzie Szczecińskiej.

Andrzej Frajndt – absolwent średniej szkoły muzycznej. Obok prezentujemy mniej znaną piosenkę zespołu: „Jak nauczyć się żyć".

Grażyna Minkowska

JAK NAUCZYĆ SIĘ ŻYĆ

Słowa: Bogdan Olewicz
Muzyka: Antoni Kopff

Jak nie przegrać swej szansy
Jak nauczyć się żyć
Jak pogodzić romantyzm z rytmem dni
Jak wyborem nie zgrzeszyć
Co to prawda, co fałsz
Jak nauczyć się cieszyć z każdego dnia
Jak nauczyć się kochać
I przebaczać, i śnić
Jak się nudzie nie poddać
O co się bić
Jak z uśmiechem na ustach
umieć gorycz klęski znieść
Jak nauczyć się
Gdzie nauczyć się
Jak nauczyć się
Jak nauczyć się żyć

Kto nauczy nas
Kto nauczy nas
Kto nauczy nas żyć
Kto pokaże nam
Kto pokaże nam
Kto pokaże jak żyć

Jak rozpoznać przyjaciół
Tych na życie, na śmierć
Za co głowę dać warto
A za co nie
Jak polubić samotność
Jeśli lepsza od kłamstw
Jak odróżnić, czy słodko, czy gorzko nam
Jak się nie dać omamić
Tanim słowom na wiatr
Czego w życiu się nie bać
A czego bać
Kiedy warto zapłacić
nawet tę najwyższą z cen
Jak nauczyć się
Gdzie nauczyć się
Jak nauczyć się
Jak nauczyć się żyć

Kto nauczy nas...

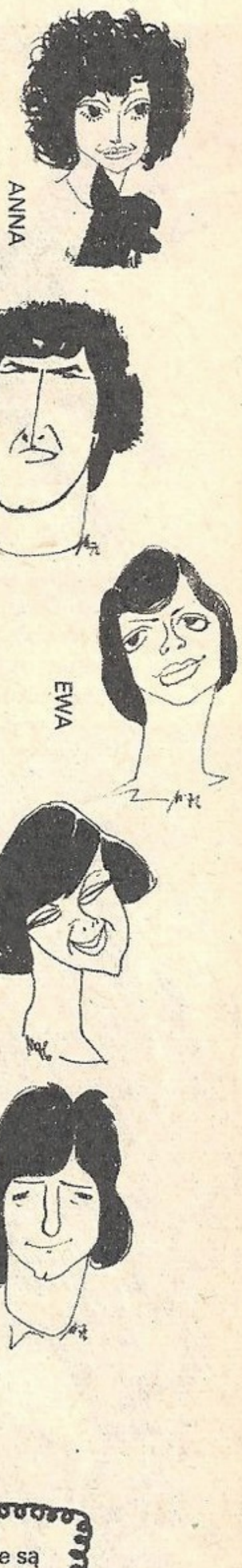

WARUNKI PRENUMERATY – Cena prenumeraty krajowej „Płomyka" wynosi: kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84. Wpłaty na II kwartał przyjmowane są do dnia 10 marca 1977 r., na III kwartał i II półrocze – do 10 czerwca 1977 r., na IV kwartał – do dnia 10 września 1977 r. Wpłaty od Czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i doręczyciele. Szkoły i instytucje w miastach zamawiają prenumeratę w Oddziałach lub Delegaturach RSW „Prasa-Książka-Ruch", natomiast szkoły oraz instytucje z miejscowości, w których nie ma Oddziału (Delegatury) RSW „Prasa-Książka-Ruch", zamawiają prenumeratę w najbliższym urzędzie pocztowym. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO Nr 1531–71. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji.

Indeks 37114/38876 ● Skład techniką fotoskładu, Linotron 505 TC wykonały Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie. Druk: Z.G. „Dom Słowa Polskiego" Nakład 250 315 egz. Zam. 1269/CD F-97

ADRES REDAKCJI: ul. Spasowskiego 4, skr. poczt. 380, 00-950 Warszawa

TELEFONY: 26-26-31 (red. naczelny), 26-24-31 w. 80 (sekretarz redakcji), 26-24-31 w. 82 (Dział Łączności z Czytelnikami)

CIEKAWE • ZABAWNE • NIEZWYKŁE

Za zniszczenie jednego drzewka w parku lub na skwerze prawo norweskie przewiduje następującą karę: własnoręczne zasadzenie przez winnego trzech nowych drzewek.

Złota myśl z fotografią
I ty możesz zostać toreadorem! Jeśli rozpoczniesz walkę z bykami... ortograficznymi.

Bonsai – to sztuka ogrodnicza, w której celują Japończycy. Polega ona na hodowaniu miniaturowych drzewek w płytkich naczyniach-donicach. Odpowiednio pielęgnowane rośliny zachowują wspaniale proporcje i sprawiają wrażenie, jakby to były stuletnie dęby i buki zminiaturyzowane do kilkucentymetrowych rozmiarów.

333 miliony bogów, duchów i demonów czczą mieszkańcy Nepalu, najwyższego kraju świata, leżącego w Himalajach u podnóża Mount Everestu. Ten wielki kult dla nadprzyrodzonych mocy nie wypływa jednak z podniebnego położenia kraju, lecz z wielowiekowej tradycji, która nakazywała dostrzegać bóstwo w każdym niewytłumaczalnym zjawisku.

Żaden Nepalczyk nie zacznie pracy, zanim nie pokłoni się duchom dobrym i nie odstraszy złych. Robi to czasem 20 razy dziennie modląc się w świątyni lub składając ofiary bóstwom. A bóstw tych wypada średnio na każdego mieszkańca kraju 30 (Nepal ma 11,5 mln. mieszkańców). Są bóstwa odpowiednie na każdą okoliczność i porę dnia. Jest więc specjalny bóg od urody dziewcząt i od stopni w szkole, bóg od nieodwzajemnionej miłości i od spóźniającej się poczty, od trzęsienia ziemi i bólu zębów.

Co znaczniejsi bogowie mają swoje świątynie. W samej tylko dolinie, gdzie leży stolica kraju, Katmandu, jest ich ponad 2500, nie licząc takich miejsc, jak święte rzeki, jeziora, drzewa i kamienie. Wizerunki i posągi bogów zdobią mury, skrzyżowania ulic, bramy domów i studnie. Żadne ważne wydarzenie w tym kraju nie może odbyć się bez „sprawdzenia opinii bogów". Np. obecny władca Nepalu musiał aż trzy lata czekać na koronację, która mogła się odbyć tylko przy określonym układzie gwiazd. A zbudowana niedawno przez Europejczyków cementownia musiała też czekać parę tygodni na uruchomienie, dopóki nie zmienił się niekorzystny układ gwiazd. Na zdjęciu – bogato zdobiony posąg uśmiechniętego Buddy – patronujący szczęśliwym małżeństwom i długiemu życiu.

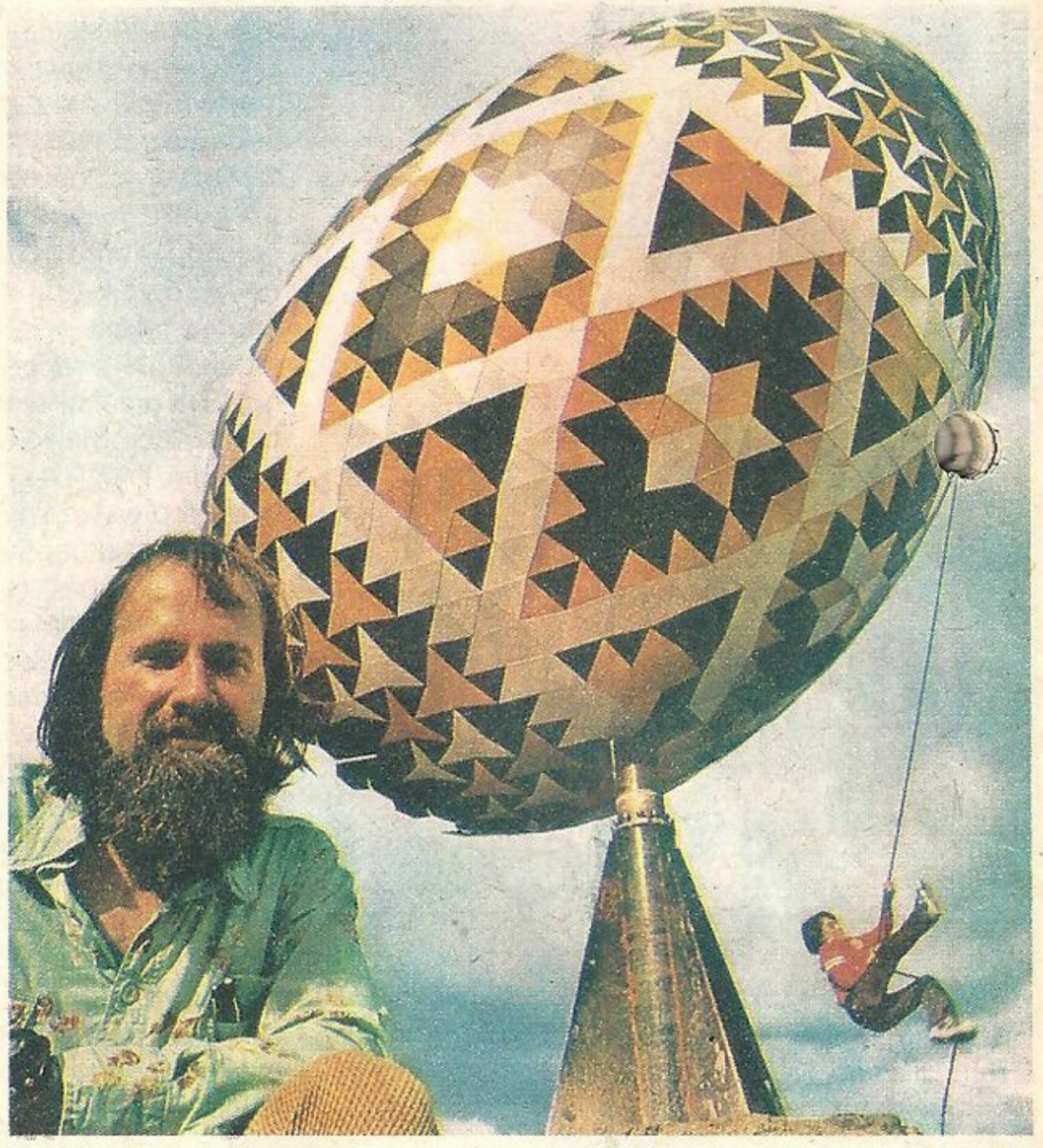

Największa „pisanka" świata (7,5-metrowej długości), jaką widzicie na tym zdjęciu, to jedyny w swoim rodzaju pomnik, wzniesiony przez mieszkańców miasta Alberta (Kanada) z okazji setnej rocznicy utworzenia Królewskiej Policji Konnej. „Pisankę" wykonano z 2732 aluminiowych płytek ułożonych w geometryczne wzory – gwiazdy i trójkąty. Gotową „pisankę" osadzono na specjalnym postumencie przy pomocy komputera, który dokładnie wyliczył punkt ciężkości. Mimo dość małej płaszczyzny zetknięcia się z postumentem pisanka-pomnik umocowana jest tak silnie, że można nawet wdrapać się na nią przy pomocy liny. Jak więc widać, pisankowy pomnik nie ma nic z pomnikowego dostojeństwa, a służyć może amatorom wspinaczki do treningu. Na fotografii z lewej – konstruktor niezwykłego pomnika prof. R. Resch z uniwersytetu w Utah.

Najodpowiedniejszy pies dla dużej rodziny to jamnik – wszyscy mogą go głaskać jednocześnie.

Ikebana – sztuka układania kwiatów w wazonach – ma w Japonii wielowiekową tradycję. Jest ona jednak stale wzbogacana nowymi kompozycjami kwiatowymi, dostosowanymi do czasów współczesnych. Japonka sposobiąca się do zamążpójścia musi umieć: dobrze gotować, szyć i układać kwiaty w wazonie, a także hodować je w przydomowym ogródku. Świadczy to najlepiej, jak dużą sympatią cieszą się kwiaty w tym kraju. Sztuki komponowania kwiatowych bukietów uczą się małe dziewczynki, a także dorosłe już kobiety, a nawet mężczyźni. Istnieje wiele różnych szkół i stylów układania kwiatów. Wyrażają one różne symbole i pojęcia, które dopiero przy bliższym i dokładnym poznaniu można trafnie odczytać.

Styl „Maribana" to komponowanie kwiatów z gałązkami drzew iglastych. Styl „Nagiere" – jeden z najstarszych, charakteryzuje się krzyżowaniem linii kwiatów i opieraniem ich o brzeg naczynia. Natomiast charakterystyczną rzeczą dla stylu „Sejka" jest komponowanie bukietów z kolorowych kwiatów w połączeniu z suchymi gałązkami. „Ikebana" wyszła dziś daleko poza granice Japonii. W wielu krajach powstały kluby i stowarzyszenia miłośników kwiatów, którzy pragną zdobyć umiejętności artystyczne komponowania kwiatów w bukiety.

Nauru – to miniaturowe państwo–wyspa, leżąca na Pacyfiku. Jej mieszkańcy, Polinezyjczycy, których jest tylko 6 i pół tysiąca, żyją z eksploatacji złóż fosforytów, z których zbudowana jest niemal cała wyspa. Ale złoża te zostaną wyczerpane za kilkanaście lat. Wówczas przewiduje się, że na miejsce wyeksploatowanych fosforytów należy sprowadzić dobrą glebę, aby przekształcić wyspę Nauru w piękny ogród atrakcyjny dla turystów. Stanowiliby oni nowe źródło utrzymania dla miejscowej ludności.

Dywany i wojłoki stanowią podstawę wyposażenia kirgiskich mieszkań. Niegdyś Kirgizi mieszkali w jurtach – namiotach wykonywanych ze skór zwierząt, dziś coraz częściej zamieniają je na domy budowane głównie z drewna i trzciny. Ale wnętrza ich w dalszym ciągu zdobią kolorowe dywany i wojłoki: wzorzyste „ałakijizy" wykonane ze spilśnionego filcu, na którym odciśnięto ornamenty z kolorowej sierści zwierząt, mozaikowe „szyndaki" zszywane z różnobarwnych kawałków filcu, czy zdobiące ściany pluszowe lub aksamitne „tusz-kijizy". Wojłoki, czyli tzw. koszny, służą głównie do spania. Rozkłada się je na noc na podłodze chaty. Natomiast w dzień leżą złożone na stosie pod ścianą i zasłonięte „eziją" – matą utkaną z łodyg trzciny i wełnianych nici.

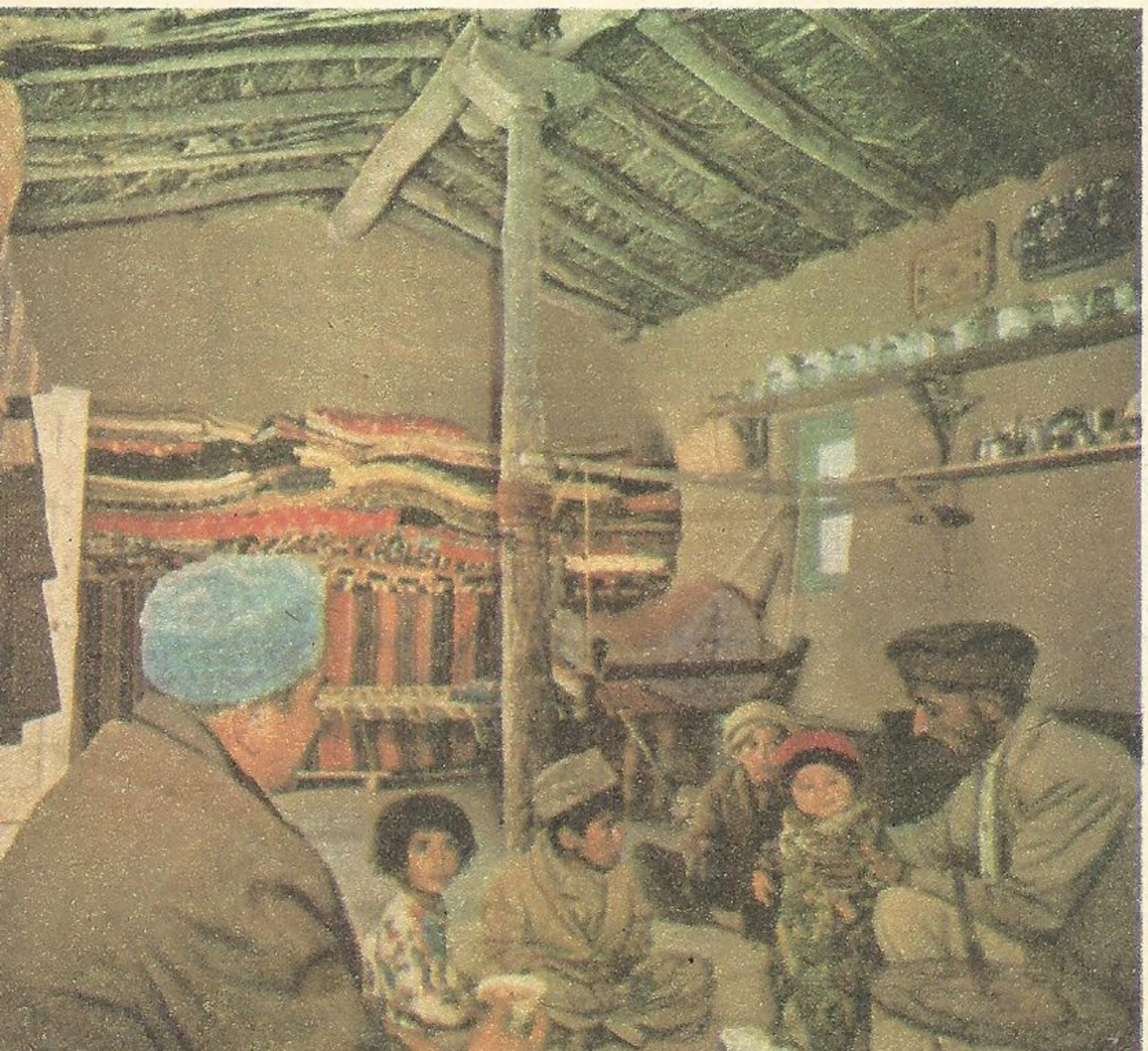

CIEKAWE ZABAWNE NIEZWYKŁE

Lamy – to zwierzęta udomowione przez człowieka przed kilku tysiącami lat. Ojczyzną ich jest Ameryka Południowa. Na skalnych malowidłach pochodzących z III tysiąclecia p.n.e., odnalezionych w górach Boliwii i Peru można zobaczyć wizerunki tych zwierząt, które już wtedy służyły człowiekowi. Do dziś w górzystych terenach wielu krajów południowoamerykańskich lamy są głównymi żywicielami ludzi. Dostarczają mięsa, skór, wełny. Są używane jako siła pociągowa, a także do jazdy wierzchem. Zwierzęta te znane są ze swej przysłowiowej łagodności i przyjaźni wobec ludzi. Szczególnie młode lamy wykazują wielkie przywiązanie, toteż bywają one często ulubieńcami domowników, jak widać to na zdjęciu.

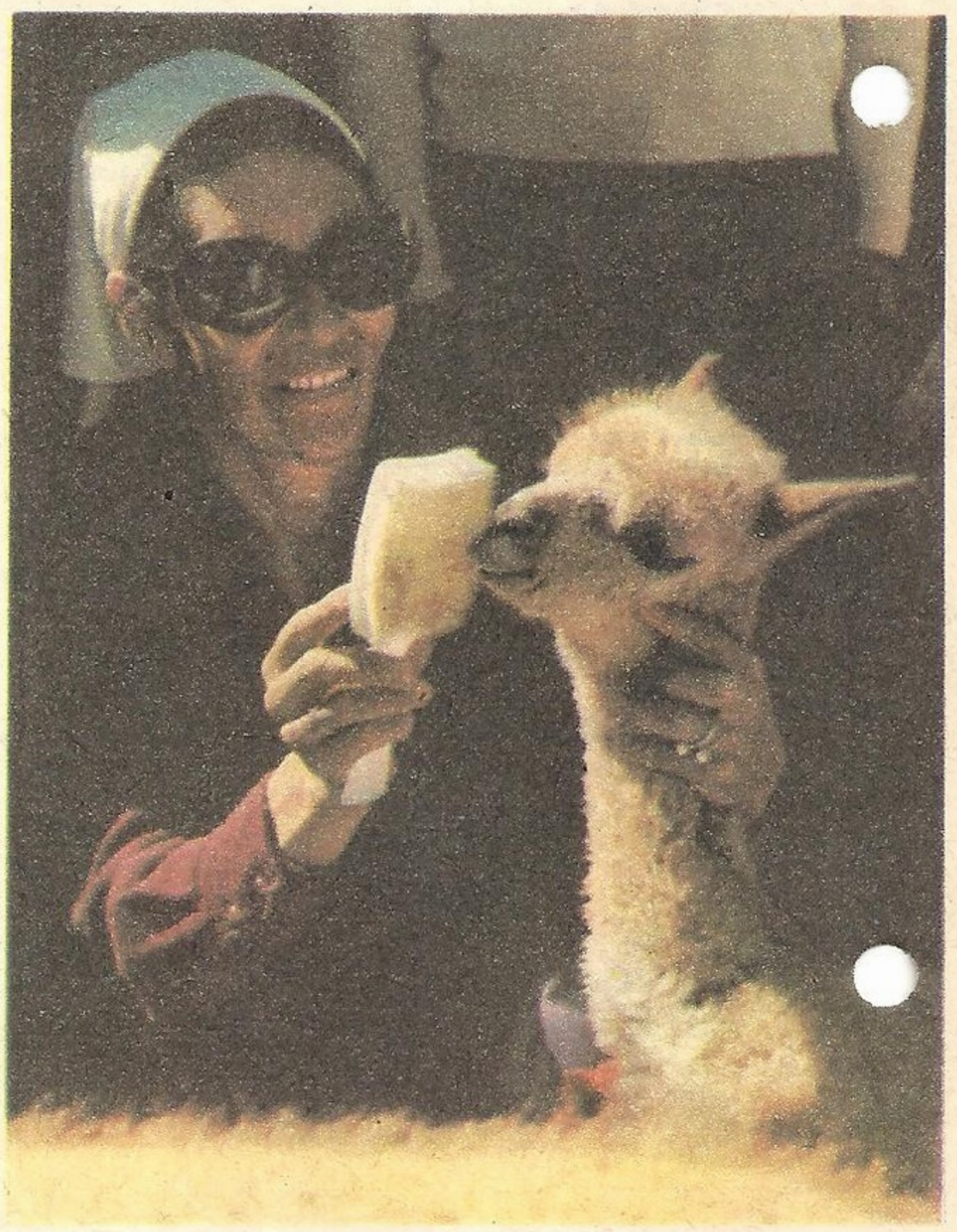

Złota myśl w ramce

Wpadając łatwo w złość,
sam sobie ścielesz łoże z pokrzyw.
(Richardson)

Tunel-wąż. W Japonii, gdzie kursują najszybsze na świecie pociągi („Tokaido" i „Sanyo" – do 220 km/godz.), projektuje się dalszy rozwój kolei. W najbliższych latach sieć kolejowa osiągnie długość 7 tys. km. Przewiduje się też, w celu usprawnienia komunikacji, budowę najdłuższego podmorskiego tunelu, którym będzie biegł tor kolejowy. Będzie on miał 54 km długości i połączy główną wyspę japońską Honsiu z północną – Hokkaido.

Najdłużej ze wszystkich ssaków żyje człowiek. Przeciętnie ok. 70 lat, ale w niektórych rejonach świata: w Gruzji, w Andach i w Ekwadorze nie należy do wielkiej rzadkości przekroczenie stu lat.

Drugim z kolei ssakiem dożywającym siedemdziesiątki jest słoń indyjski. Oczywiście, przeciętna wieku słoni jest o wiele niższa.

Wśród gadów rekord długowieczności bije żółw olbrzymi – ponad 150 lat, a wśród ptaków kruk – 300 lat.

Z owadów najdłużej żyją termity – 80 lat.

POCZTA »PŁOMYKA«

Nadchodzi wiosna...

Najlepszym tego dowodem jest zwiększający się napływ listów „spod znaku serduszka". Są to listy pełne niepokojów, cierpień i smutków. Czy rzeczywiście tacy smutni są wszyscy zakochani? Nic podobnego! Tylko że ci weseli i szczęśliwi nie piszą do nas. A szkoda, bo i nasza Poczta byłaby weselsza. Oddajmy więc głos jednej z cierpiących:

Jestem uczennicą szkoły podstawowej w Kielcach. Mam 14 lat. Od pewnego czasu zaczęłam się interesować pewnym chłopcem z mojej klasy. Już wcześniej znałam wielu chłopców, ale on wydaje mi się jakiś inny, mający takie zalety, jakich nie mogłam wykryć u innych.

Może to jest głupie, ale wydaje mi się, że się „zakochałam". W domu chodzę jak opętana, nic nie robię, w szkole opuściłam się trochę pod względem nauki – ciągle jestem jakaś tajemnicza, zamyślona, jakaś obojętna w stosunku do rodziców i znajomych. Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. Wydaje mi się, że on mnie też lubi, ale czy coś więcej – mam wątpliwości. Jednak on wydaje mi się bardzo bliski, mogłabym go nazwać „rozniecającym smutki". Jeszcze jedno! Jest to jedyny chłopak, przed którym czuję jakiś lęk, wstydzę się go i mam do niego słabość. Co oznacza takie zachowanie, taki stosunek do „sympatii"? *„Ciku"*

Trzeba przyznać, że autorka tego listu świetnie potrafi siebie obserwować. Opisała w sposób idealny wszystkie typowe zjawiska psychiczne, które towarzyszą „stanowi zakochania".

Nawet zielony atrament, jakim napisany jest cały list, oddaje pełen nadziei jej stan ducha... Bardzo charakterystyczne też jest to, o czym wspomina w przedostatnim zdaniu. „Co to oznacza?" – pytasz. Właśnie to, że jesteś zakochana.

Kochani Zakochani! Przeżywajcie swoje radości i smutki. Tylko nie za tragicznie. Pamiętajcie, że nie Wy pierwsi i nie Wy ostatni raptem nagle zaczynacie „chodzić jak opętani", „jacyś obojętni" na wszystko z wyjątkiem „tego jednego" lub „tej jednej". Niech Was w tych strapieniach i rozterkach ratuje pewność, że raptem nagle, jak po wiosennej burzy, horyzont się rozjaśni i – albo wszystko minie, albo też, z chmurnej miłości powstanie słoneczna przyjaźń.

Picie i palenie jest niepoważne!

Jestem jedną z czytelniczek redagowanego przez Was dwutygodnika dla młodzieży. Mieszkam w niewielkim mieście przygranicznym nad Nysą Łużycką. Mam 15 lat i w tym roku szkolnym zostałam uczennicą I klasy LO.

W swoim środowisku uchodzę za dziewczynę niebrzydką. Staram się być wesoła, lubię z każdym porozmawiać, być uprzejma, a mimo to brakuje mi prawdziwego przyjaciela. Może dlatego, że nie postępuję tak jak te dziewczęta, które się nie szanują. Spotykają się z chłopcami na drodze, piją alkohol, palą papierosy i w dodatku nawet posługują się wulgarnymi słowami. W ten sposób chyba manifestują swoją dorosłość i siłę. Dzisiejsi chłopcy też prawie wszyscy są tacy sami i uważają, że moje poglądy są staroświeckie. Ja ich jednak nie zmienię, bo uważam, że kontakt z bliźnimi nigdy nie może być grą, udawaniem, narzucaniem sobie nieswojego stylu i rezygnacją z własnego zdania, żeby tylko nie narazić się (np. swojemu chłopcu). Uważam, że picie alkoholu i palenie papierosów jest niepoważne i nie wyrzeknę się swego zdania, po to tylko, żeby przestano mówić, że mam staroświeckie poglądy.

„Irka"

Twoje poglądy nie są staroświeckie. Masz natomiast poważny stosunek do życia, masz swój styl oraz swoje wyraźnie sprecyzowane przekonania. Nic dziwnego, że razi Cię nastawiony na „imponowanie" styl życia Twoich rówieśników. Nie jest to styl powszechnie przyjęty i przesadzasz pisząc, że „prawie wszyscy są tacy". Natomiast rzeczywiście ci „imponujący" najbardziej rzucają się w oczy, tym bardziej że otacza ich przeważnie spora grupa kibiców, którzy też chcą być „fajni", ale wielu z nich myśli tak samo jak Ty, tylko brak im samodzielności i charakteru, żeby postępować według własnych myśli i własnego stylu. A tylko tak warto postępować (znajdziesz na ten temat ciekawe uwagi w felietonie „Jesteś inna? – zostań inną!" w nrze 10 z ub.r.). Taka „inność" prowadzi nieraz do rozluźnienia kontaktów z grupą. Trzeba więc przeciwdziałać izolacji przyciągając do siebie tych wszystkich, z którymi można znaleźć wspólny język. Jak wynika z listu, starasz się to robić. Bądź pewna, że znajdziesz przyjaciół. Podobne kłopoty ma „Anka". Ale u niej dodatkową przeszkodą jest nieśmiałość.

„Nikt do mnie nie podejdzie"

Jestem uczennicą VII klasy i mam 14 lat. Uczę się dobrze, lecz moja sytuacja w klasie wcale nie jest najlepsza. Nikt nigdy do mnie nie podejdzie, nie zaprosi do kina, nie porozmawia o modzie i innych sprawach. Czuję się, jakbym w ogóle nie należała do tej klasy, jakbym żyła gdzieś na uboczu. To już jest nie do zniesienia. Na każdej przerwie stoję z boku, nikt do mnie nie podejdzie. Niekiedy starałam się porozmawiać z koleżanką, przybliżyć się trochę do klasy, lecz wszystko na nic. Każdy krótko odpowie i odejdzie. Chcę znaleźć wspólny język z moją klasą, lecz oni widocznie tego nie chcą. Co oni takiego we mnie widzą? Do szkoły i z powrotem zawsze idę sama. Nauczyciele mnie chwalą, że to taka cichutka i grzeczna dziewczynka, że umie się zachować, lecz mnie to wcale nie cieszy. Życie takiej cichutkiej i grzecznej dziewczynki wcale nie jest przyjemne. Jest po prostu nieznośne. Bardzo Cię proszę, „Płomyku", poradź, co ja mam w końcu robić, żebym była taka jak inni i żeby oni mnie polubili.

„Anka"

Wcale nie musisz „być taka jak inni". Bądź sobą, ale staraj się nabrać nieco więcej śmiałości. Nie czekaj, aż inni podejdą i zaproszą Cię do kina lub zaczną mówić o modzie. Inicjatywa może przecież należeć także do Ciebie.

Niedobrana para?

W naszej szkole była zabawa, na którą poszłam zadowolona, a przyszłam z niej załamana. Tańczyłam z koleżanką i nagle spostrzegłam, że zbliżają się do nas chłopcy. Jeden to Jarek, niewiele wyższy ode mnie, drugi bardzo wysoki Mirek. Obydwaj zbliżali się do mojej koleżanki (na wyścigi). Ale Jarek był pierwszy i spokojnie poprosił moją koleżankę. Mirek znalazł się w kłopocie, gdyż nie miał innego wyjścia, jak poprosić mnie. On wysoki, a ja – mizerna, niska, nie pasowaliśmy do siebie w oczach reszty, bo prawie wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nic dziwnego – ich wszystko śmieszy, a tym bardziej dziewczyna tańcząca z chłopcem, który pasuje do innej. I właśnie chciałam spytać, czy rzeczywiście byliśmy złą parą? Moja głowa sięgała mu do ramienia. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie koleżanka, która powiedziała: „Taki bajtel z takim wielkim" i to mnie wyprowadziło z równowagi. Wybiegłam z sali i już nie wróciłam. *„Mała"*

Dobrana para – to taka, która ładnie razem tańczy. Duża różnica wzrostu (na korzyść partnera) dodaje nawet często wdzięku. Wiele par tańczących na lodzie bardzo różni się od siebie wzrostem. Poważniejsze kłopoty mogą mieć bardzo wysokie dziewczyny. Ale i w tym wypadku najważniejsze jest, jak się tańczy.

O korespondencyjnych nadużyciach

Pewnego dnia, gdy wróciłam ze szkoły, mama wręczyła mi anonimowy list tej treści: „Łańcuszek szczęścia. Wyślij ten list do 14 osób w ciągu 48 godzin. Kto przerwie łańcuszek, będzie nieszczęśliwy. To nie żart! Łańcuszek ten zaczął chory chłopiec z Wietnamu. Po wysłaniu listu zauważ, co się stanie". Wiele razy słyszałam o takich listach i zawsze śmiałam się z nich, więc i tym razem uśmiechnęłam się i wyrzuciłam kartkę do kosza.

Kilka dni temu znów dostałam list podobny do tamtego, lecz o nieco innej (głupszej) treści i dlatego nie będą przepisywać, wspomnę tylko, że na początku była modlitwa do św. Antoniego. A potem kilka słów wyjaśnienia, że ten łańcuszek założył pewien misjonarz z Ameryki Pn., i że trzeba przez 13 dni wysyłać po jednym liście i za każdym razem odmówić modlitwę, a na końcu była groźba, że kto przerwie ten łańcuszek – dozna nieszczęścia, bo... pewien Polak z Argentyny tak zrobił i stracił syna, natomiast pewien Włoch spełnił to wszystko i wygrał kilka tysięcy lirów!

Ten list zastanowił mnie głębiej. Pochodzę z rodziny wierzącej i listy tego typu są dla mnie obraźliwe. A w ogóle te listy to absolutna głupota. Więc apeluję do wszystkich kolegów i koleżanek z całej Polski: „Skończmy z tymi łańcuszkami głupoty, przerywajmy tę bezsensowną, a nawet obraźliwą zabawę". *„Lublinianka"*

W pełni popieramy Twój apel. Poczta i tak ma aż za wiele pracy. Aż dziw, że w końcu XX w. są jeszcze naiwni i zabobonni uczestnicy zabawy w rozpowszechnianie bzdur. Jest to nadużywanie korespondencji. Przy sposobności chcemy przestrzec Was, a szczególnie tych, których adresy podawane są np. w „Giełdzie Hobbistów", że bywają one czasem wykorzystywane do niemądrych korespondencyjnych żartów. Jedyna rada: wyrzucać takie listy do kosza. Mieliśmy też sygnał, że pewien hobbista-filatelista otrzymał niespodziewanie przesyłkę do odbioru za pobraniem jakiejś sporej sumy. W paczce miały być znaczki, a nie było nic. A więc nie dawajcie się nabierać i na takie nieuczciwe kawały.

JAK SIĘ LATA NA LOTNIACH

ABC sterowania lotnią

a – lotnia po starcie leci zbyt wolno, należy zwiększyć jej szybkość i w tym celu lotniarz ściąga sterownicę na siebie, czyli przesuwa się do przodu lotni. Powstaje moment pochylający lotnię nosem w dół – wówczas rozpędza się ona do większej prędkości. Szybkość jednak wzrasta zbyt gwałtownie...

b – lotniarz dla zwolnienia prędkości lotni lekko odpycha od siebie sterownicę, czyli przesuwa się do tyłu względem lotni. Lot jednak się kończy i ziemia zbliża się gwałtownie do podwozia lotni, czyli... do nóg pilota. Aby uniknąć zderzenia z ziemią, pilot gwałtownie odpycha sterownicę na długość wyciągniętych rąk. Powoduje to zadarcie nosa lotni w górę i chwilowy wzrost siły nośnej, a w rezultacie lądowanie z minimalną prędkością.

c – wykonanie zakrętu jest również proste. Wystarczy odepchnąć sterownicę w prawo, ażeby tym samym znaleźć się pod lewym skrzydłem lotni. Wówczas następuje pochylenie lotni na lewo i zaczyna ona skręcać w tym kierunku. Przy zakręcie należy lekko ściągnąć sterownicę do siebie, aby przyspieszyć prędkość lotu.

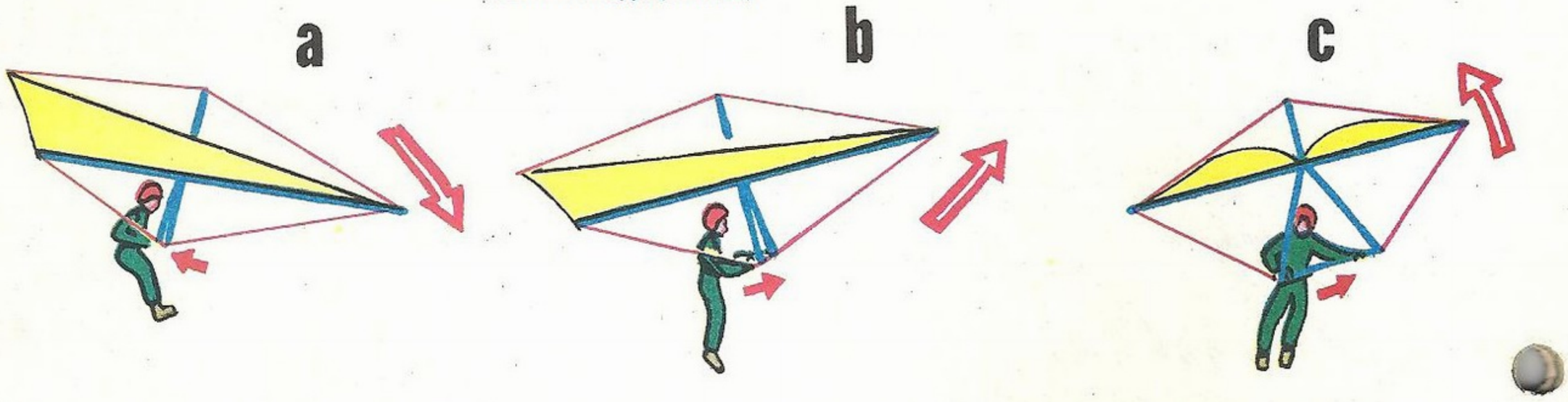

BUDOWA LOTNI. Powierzchnię lotni wyznaczają trzy rury: dwie zewnętrzne, które tworzą krawędzie natarcia (1) i jedna centralna rura, zwana kilem (2). Rury te złączone są rurą poprzeczną (3) oraz związane wspólnie w przodzie jednym okuciem (4). W punkcie centralnego połączenia rur (9) zamocowana jest sterownica (5), która dla usztywnienia konstrukcji połączona jest linkami (6) z kilem oraz innymi rurami. Dodatkowym usztywnieniem konstrukcji jest przymocowany do centralnego węzła maszt (7), który również przy pomocy linek połączony jest z podstawowymi rurami lotni. Poszycie (8) przymocowane jest do kilu i do krawędzi natarcia. Pilot wisi na pasach przyczepionych z jednej strony do węzła centralnego (9) z drugiej zaś do uprzęży podobnej do uprzęży spadochronowej. Trzymając w rękach sterownicę może w pewnym zakresie zmieniać swoje położenie względem lotni i w ten sposób sterować nią. Dla uchronienia się przed uderzeniem przy nieszczęśliwym lądowaniu pionowe rury sterownicy owinięte są miękką gumą, a na końcach sterownicy i na przednim okuciu lotni umocowane są kółka (10), również z miękkiej gumy, amortyzujące uderzenie lotni o ziemię.

Opr. mgr inż. Andrzej Moldenhawer
Rys. Władysław P. Jabłoński

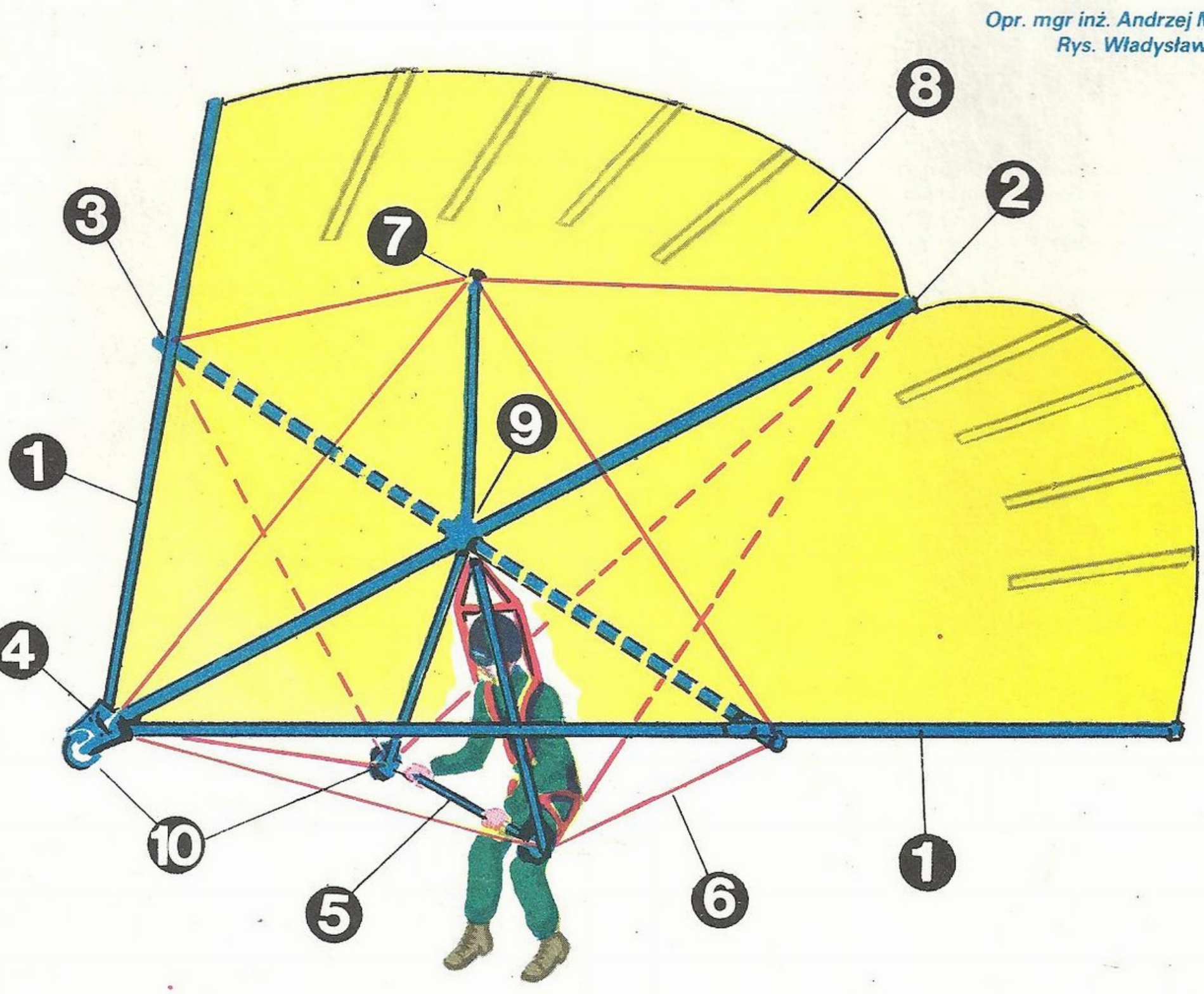

CENA
3,50 zł